

ŚWIAT



HADASIK NA STARCIE

DO WROCŁAWSKIEJ ELIMINACJI NASZYCH KOLARZY, KTÓRA WYEDNI BRUZYNE REPREZENTACYJNA, O PRZYGOTOWANIACH ZAWODNIKÓW DO V WYŚCIGU POKOJU OPOWIADA NASZ REPORTAŻ NA STR. 10 — 11.

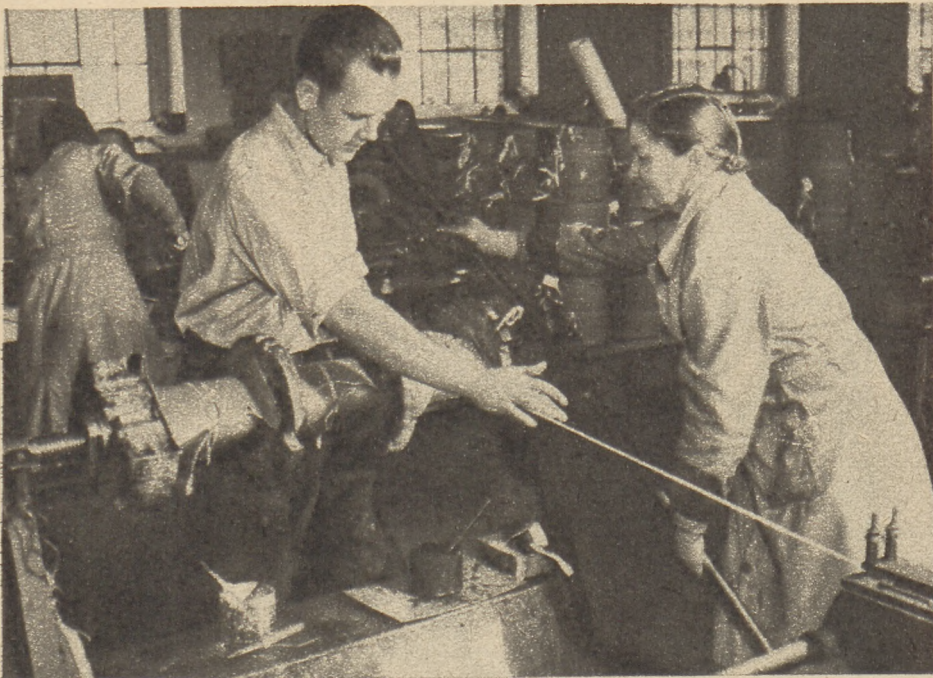
Fot. „Świat” — Z. Małek

82 ROCZNICA URODZIN WŁODZIMIERZA LENINA



W dniu 22 kwietnia mija 82 rocznica urodzin Włodzimierza Lenina, wodza rosyjskiej klasy robotniczej, twórcy partii bolszewickiej, genialnego nauczyciela ludzkości. Z imieniem Lenina związane są nierozłącznie dzieje zwycięskich walk mas pracujących Rosji, które doprowadziły do stworzenia pierwszego na świecie państwa socjalistycznego i wskazały drogę do wyzwolenia społecznego i narodowego.

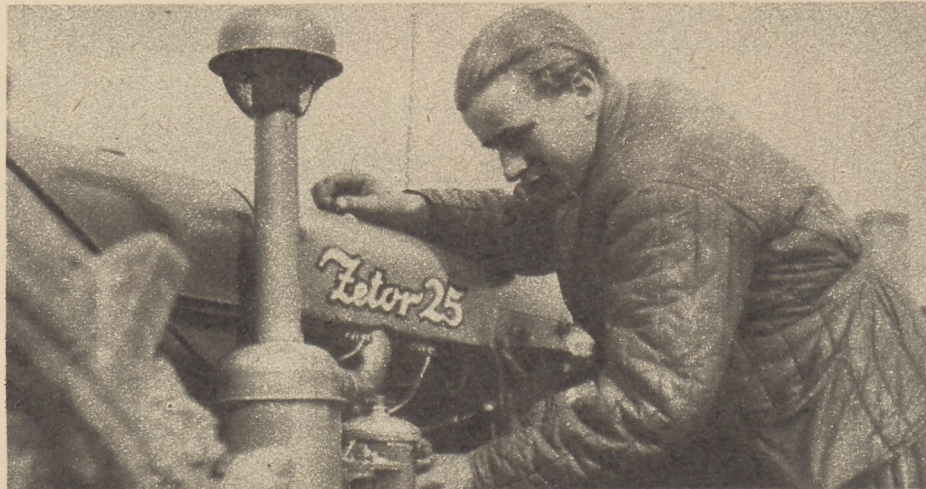
PRZODUJĄCY WE WSPÓŁZAWODNICTWIE



CAF

W Zakładach Wytwórczych Transformatorów M-10 rozwija się coraz bujniej socjalistyczne współzawodnictwo, w którym przodują nawijacze transformatorów — Gertruda Śliwa i Edmund Poślednik. Ostatnio uzyskują oni 218% normy.

PRZED SIEWAMI WIOSENNYMI



CAF

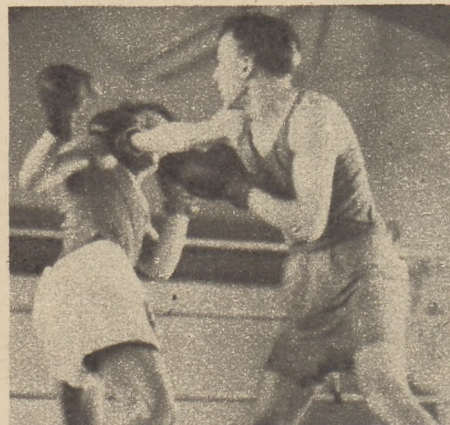
Roboty wiosenne na wsiach są w pełnym toku. Ze szczególną troską przygotowuje się maszyny i narzędzia do siewów. Traktorzysta Czesław Czajka ze wsi Brzeziny, pow. Jędrzejów, dokonuje ostatniego przeglądu swojego ciągnika.

DLA UCZCZENIA URODZIN PREZYDENTA

ZE SPARTAKIADY WOJSKA POLSKIEGO



S. Wojtała, stolarz z FSC — Starachowice, dla uczczenia 60 rocznicy urodzin Prezydenta, zwiększył wydajność do 210%.



W Toruniu odbyła się Spartakiada Wojska Polskiego. Publiczność oklaskiwała gorąco interesujące spotkania bokserskie.

ZBRODZIA W MELUN



UEP

W Melun we Francji odbyły się masowe demonstracje przeciwko zbrodni amerykańskich żołdaków, którzy zamordowali robotnika, Alfreda Gadois.

W OBRONIE ROBOTNIKÓW HISZPAŃSKICH



Przed ambasadą frankistowskiej Hiszpanii w Londynie manifestowano w obronę 27 uwięzionych przywódców strajku w Barcelonie. Na transparentach manifestanci umieścili hasła solidarności, z niezłomną klasą robotniczą Hiszpanii.



Fot. „Świat” — W. Stawny

NAD PLANAMI NOWEJ WARSZAWY W ROKU 1952

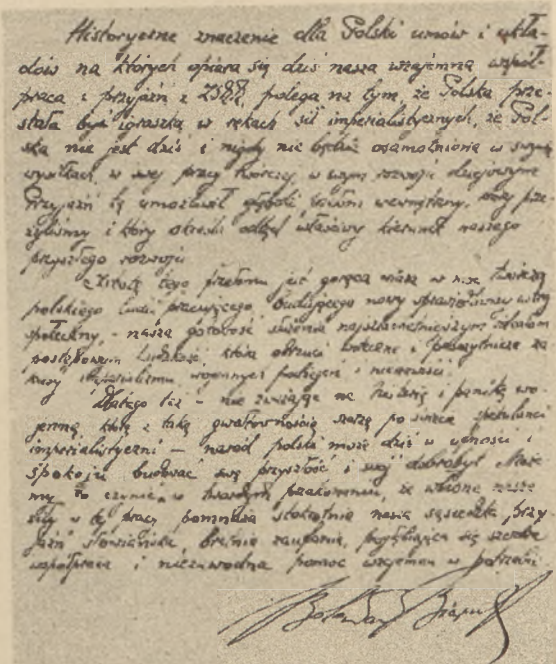
7 ROCZNICA WIELKIEGO UKŁADU

SIEDZIEDEMI lat temu, 21 kwietnia 1945 roku, zawarty został w Moskwie polsko-radziecki układ o przyjaźni i wzajemnej pomocy. Podpisanie tego historycznego dokumentu nastąpiło w chwili, kiedy Armia Radziecka oczyszczała ostatni skrawek naszej ziemi od hitlerowskich okupantów, kiedy o Kołobrzeg i Nysę walczyli żołnierze polscy, wyposażeni w najlepszą broń radziecką, kiedy do naszych piekarni płynęła radziecka pszenica, kiedy na murach fabryk, które miały jutro pracować dla wyzwolonego narodu, ręka radzieckiego sapera pisała: „Min nie obnażono”.

Przyjaźń i pomoc odczuwaliśmy od pierwszych dni. Rząd radziecki, który bezpośrednio po Październiku unieważnił akty rozbiorowe i uznał prawo Polski do niepodległości, traktował zawsze sprawę naszego narodu jako rzecz ważną i bliską. Przy stole konferencyjnym w Poczdamie zdecydowany głos Stalina zapewnił nam na zawsze Ziemię Zachodnie. Troska Rządu ZSRR sprawiła, że otrzymaliśmy reparacje wojenne. Pokojowej, dalekowzrocznej polityce Związku Radzkiego dziękujemy fakt, że za każdą granicą mamy dziś naród — przyjaciela.

Przyjaźń i pomoc wielkiego sojusznika odczuwamy stale, codziennie. Gdy nasi studenci zdobywają na moskiewskich uczelniach cenną wiedzę — radziecy specjaliści pomagają budować w Warszawie fabrykę samochodów. Gdy w radziec-

kich fabrykach montuje się „Donbassy” dla polskich kopalń, Lidia Korabielnikowa uczy naszą młodzież socjalistycznego stosunku do pracy. Gdy do przodujących kołchozów Ukrainy wyjeżdżają



...Historyczne znaczenie dla Polski umów i układów na których opiera się dziś nasza wzajemna współpraca i przyjaźń z ZSRR polega na tym, że Polska przestała być igraszką w rękach sił imperialistycznych, że Polska nie jest dziś i nigdy nie będzie osamotniona w swych wysiłkach, w swej pracy twórczej, w swym rozwoju wewnętrznym. Przyjaźń tę umożliwił głęboki przełom wewnętrzny, który przeżyliśmy i który określa odtąd właściwy kierunek naszego przyszłego rozwoju. (Fragment oświadczenia Prezydenta Bieruta, które opublikował miesięcznik „Przyjaźń” — w kwietniu roku 1948).

na naukę polscy chłopci — ze Związku Radzieckiego przybywają transporty ocalonych z pożogi wojennej skarbów naszej kultury.

Osiągnięcia Związku Radzieckiego są przykładem, z którego dziś korzystamy we wszystkich dziedzinach naszego życia. Nazwiska Bortkiewicza, Kowalowa i Żandarowej związane są dziś z wieloma osiągnięciami naszego przemysłu. O Miczurinie i Łysence wie dziś każdy przodujący rolnik. Artyści nasi studiują Stanisławskiego, lekarze — Pawłowa, sportowcy kształcą się na metodach Niny Dumbadze i Grzegorza Nowaka. Ileż cennych doświadczeń partii bolszewickiej pomaga w pracy naszej partii, ile pięknych tradycji Komsomołu przejęła nasza młodzież, ile mądrych stalinowskich myśli wykorzystaliśmy dla projektu naszej Konstytucji!

Wspaniałym w swojej wymowie wyrazem stosunku naszych radzieckich przyjaciół będzie Pałac Kultury i Nauki, który wzniosą w centrum naszej stolicy ręce radzieckich robotników i inżynierów. Gigantyczna budowla będzie widoczna ze wszystkich krańców miasta, jak we wszystkich zakątkach naszego kraju widzimy i odczuwamy twórczą siłę przyjaźni narodu radzieckiego.

Z pomocą ZSRR budujemy w kraju podwaliny naszej potęgi i dobrobytu. U boku ZSRR naród polski walczy o utrwalenie pokoju, który umożliwi dalsze pomnożenie naszych sukcesów. I będą one rosły tak, jak rośnie i zacieśnia się przyjaźń wolnych narodów Polski i Związku Radzieckiego.



Od probówek do fabryk wiedzie nie łącząca Instytut z całym wielkim przemysłem chemicznym



Chemia analityczna zyskała w Polsce Ludowej właściwą rangę — mówi profesor Marceli Struszyński — odznaczony Nagrodą Państwową II stopnia.



Inż. Pilc pomógł „Rokicie”, pomógł państwu, podnosząc wydajność jednego działu fabryki o 100 procent.



Kosztowne aparaty precyzyjne służą uczonym chemikom w ich trudnej pracy badawczej.

UCZENI WIELKIEJ CHEMII

TADEUSZ JACKOWSKI — Zdjęcia K. JAROCHOWSKI

WIDAC stąd nieomal jak na dłoni całą polską wielką chemię. Niewidzialne nici prowadzą do niezwykle skomplikowanych urządzeń Oświęcimia, tego królestwa polskiej syntezy, do Gorzowa z jego pałacową halą przędzy silniejszej niż jedwab, a cieńszej niż pajęczyna, do Rokity — fabryki o nazwie diabła — a produkującej cenne leki, do Wizowa, Kędzierzyna i wszędzie tam, gdzie rodzi się siła chemii — drugiego narodowego przemysłu Polski.

Obszerna jest perspektywa z tego gmachu, wyraźającego na przedpolu Warszawy, gmachu lśniącego szkłem, pełnego światła. Budynek ten okazały i wyniosły stoi obok budynków znacznie mniejszych, ściśniętych za wysokimi płotami. Są to zabudowania stare, zabudowania, z których ongiś perspektywa była wąska, niska, taka jaką była polska chemia w latach międzywojennych. Nie będzie przesady jeśli powiemy, że z oszklonych gmachów na Żoliborzu promieniuje myśl chemików do wszystkich odległych zakątków Polski, do wszystkich fabryk chemicznych. Instytut Chemii Ogólnej jest mózgiem tych skomplikowanych organizmów fabrycznych.

PO NOWE SKARBY

Jeden z najbardziej utalentowanych górników świata — Wiktor Markiewka — wezwał przed trzema laty inżynierów i techników do współzawodnictwa, do podejmowania zobowiązań. W licznych instytutach naukowych apel przyjęto z początku z dużą rezerwą. — Jak to, czy można zmusić myśl uczonego do żywszej pracy? Czy można podejmować zobowiązania w tak nieuchwytnej sferze, jak dociekania naukowe?

I okazało się, że można, że zobowiązania naukowców mogą być równie realne, równie wymierne, jak zobowiązania Wiktora Markiewki.

Instytut Chemii Ogólnej zobowiązania takie podjął z okazji urodzin Prezydenta. Wartość ich wyraża się sumą 2 milionów złotych!

Lista zobowiązań, którą ma przed sobą na biurku profesor Zmaczyński, dyrektor Instytutu, skupia jak w soczewce to wszystko, czym żyje Instytut, a jednocześnie to, czym żyje przemysł chemiczny, któremu przecież Instytut służy... Krzyżują się na tej liście owe nici, wiodące od probówek laboratoryjnych do ogromnych hal fabrycznych.

Ot, dla przykładu — mówi profesor Zmaczyński — zobowiązanie grupy, dotyczące przyspieszenia budowy instalacji dla wykorzystania rud ubogich w siarkę. Brakuje w Polsce rud bogatych, zasobnych, korzystamy z importu. Przyspieszenie badań nad uzyskaniem siarki z ubogich rud, da Polsce ogromny dochód — pozwoli na wykorzystanie rezerw. Zresztą korzyści wynikające z takiej metody, zwanej w języku naukowym fluidyzacją, idą znacznie dalej. Wiele rud metalowych wiąże się trwale z siarką, co uniemożliwia wykorzystanie ich dla przemysłu hutniczego; odciążenie z nich siarkę

pozwoли na przetapianie ich w piecach. Tym samym zwiększy się nasz stan posiadania cennych rud metalowych.

Myśl chemika sięga więc po nowe skarby dla nowego przemysłu. Na marginesie dodajmy, że Instytut szczyty się pomysłem inż. Uliaszki — od kryciem nowych złóż geologicznych, tzw. tufów wulkanicznych, dla produkcji szkła o dużej wytrzymałości. Użycie owych tufów przynosi m. in. niepoślednią oszczędność sody — przynosi korzyść kolejnym ogniowom w długim łańcuchu związanych ze sobą zagadnień przemysłowych.

Długa i cenna jest lista zobowiązań. A za każdą pozycją kryje się wysiłek licznych zakładów Instytutu, wysiłek jego pracowników.

BYŁA TU STAJNIA

Inżynier Pilc — skromny, szczupły człowiek o nieco wyblakłych oczach i szpakowatych włosach, mówi o Rokicie, o tym potężnym kombinacie chemii organicznej. Mówi ciepło i serdecznie, tak, jak się mówi o czymś bardzo drogim i bliskim.

— Razem z ludźmi fabryki — damy, zgodnie z zobowiązaniem złożonym Prezydentowi, o 100% więcej bezwodnika azotowego. Dawniej pracowaliśmy tam przy nieco przestarzałej technologii. Racjonalizator Lewandowski, świetny robotnik i człowiek o szerokich horyzontach, podsumował projekt zmian. Myśmy ten projekt rozwinęli i udoskonalili. Jest to niemal klasyczny przykład współpracy Instytutu z czołowymi ludźmi fabryki.

Przeszliśmy z gabinetu pełnego książek do zakładu technologii, do ogromnej hali, gdzie wysoko piętrzą się urządzenia doświadczalne. Hala przypomina miniaturę fabryki. Wysoko na żelaznym pomoście trzech młodych ludzi pochyla się nad jakimś kociołkiem. Zajęci są bardzo.

Pilc wskazuje ich oczami:

— Rybacki, Kamiński i Skrzelecki pracują nad realizacją zobowiązania... Musimy znaleźć nowe surowce dla produkcji barwników... Zadanie trudne, ale na czas się uporamy.

Obeszliśmy dokładnie hale, oglądając skomplikowane aparaty i instalacje. Wzdłuż ścian starannie wybielonych, na wysokości metra, widać w murze niewielkie zagłębienia. Są to ślady po żłobach.

Była tu niegdyś stajnia SS-manów.

W OGNIU PRÓB

Teraz zbliżyliśmy się do owej „nieuchwytnej sfery” — do zobowiązań, które rzekomo trudno wyliczyć, ująć w cyfry. Zaczniemy mówić o nich konkretniej.

Istnieje w przemyśle chemicznym niezwykle ważna dziedzina analizy kontrolnej, badającej produkcję, jej wartość i jakość. Instytut prowadzi obszerne i żmudne prace nad unowocześnieniem na ogół przestarzałych i niezbyt wygodnych metod analizy. Dla zbadania metod analizy we wszystkich tak rozległych dziedzinach chemii przemysłowej, Instytut, a ściślej jego zakład analizy, rozpisal ankietę. Odpowiedzi na ankietę zajmują powierzchnię kilkunastu tysięcy stron maszynopisu, ważą kilogramy. Każda odpowiedź ankiety przejdzie ogień prób laboratoryjnych, każda analiza przejdzie analizę.

Po skończeniu tej doprawdy olbrzymiej roboty, przemysł otrzyma jednolite, naukowo opracowane metody kontroli. Jest to niezmiernie ważny odcinek walki o jakość naszej młodej i rozwijającej się produkcji — wielkiej chemii.

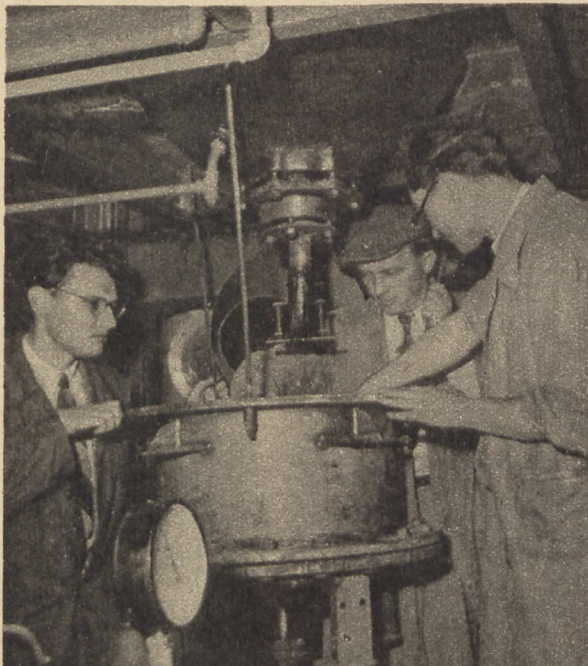
O realizacji tych zadań opowiadają nam: profesor Marceli Struszyński i inżynier Minczewski. Kierownicy zakładu i 11 ludzi zajmujących się tą sprawą podjęło zobowiązania: skrócić „analizę analizy” o 2 miesiące.

Przytoczę teraz słowa profesora Zmaczyńskiego — jednego z pierwszych pracowników Instytutu.

— Niegdyś, gdy Polska praktycznie biorąc chemii nie posiadała, kiedy chemicy błakali się po urzędniczych posadach, cechowała naszą pracę nuda i beznadziejność. Nie było dla kogo pracować — przemysłu nie było. Cóż z tego, że przeprowadzano teoretyczne badania, kiedy nie miał kto stosować tego w praktyce. Badania nasze były przyczynkowe — zawieszane w próżni...

Jakże inny jest dzisiaj obraz Instytutu, jak inny i bogaty jest świat polskiej chemii. Głębokie, serdeczne związanie z przemysłem, przejęcie jego trosk i radości — daje młodość i siłę. Daje to, że uczeni tak jak robotnicy podejmują zobowiązania dla uczczenia urodzin Prezydenta, że je zwycięsko realizują.

Fot. W. Stawny



Pracownicy Instytutu — Rybacki, Kamiński, Skrzelecki — pracują nad zrealizowaniem zobowiązania.



FRANCUZI RYSUJĄ WARSZAWĘ

GOŚCIMI w Warszawie wystawę plastyków francuskich. Jest to wystawa bogata i różnorodna, zarówno jeśli wziąć pod uwagę reprezentowane rodzaje, jak skalę indywidualności i zakres tematyczny. Malarstwo olejne, akwarela, grafika, rysunek, rzeźba i tkanina; prace artystów, którzy stworzyli epokę w malarstwie, (Picasso, Matisse); poetycki pejzaż Marqueta, notatka akwarelowa Signaca...

Wreszcie najmłodsi przedstawiciele plastyki, malarze o zdecydowanych zainteresowaniach społecznych i tendencjach rewolucyjnych, grupujący się wokół Fougersona i Taslizky'ego, którzy, jak powiada Andre Wurmser, otwarli drzwi do sztuki ludowi francuskiemu — wprowadzając na nowo i w odmienny sposób zagadnienia zapomniane lub zlekceważone przez większość artystów współczesnych, a przecież żywe jeszcze w ubiegłym stuleciu dzięki dziełom artystów tej miary co David, Delacroix, Courbet, Dauterive.

Widzimy tu życie robotnika francuskiego od fragmentów, zdawałoby się ściśle prywatnych, kiedy jego żona biedzi się w swojej kuchni nad ułożeniem budżetu miesięcznego (Zambaux: Budżet) poprzez pejzaż przedmieścia paryskiego, dokąd wraca po pracy (Gallard: Porte de Vanves) i martwą naturę skomponowaną z przedmiotów, które stanowią ekwipunek robotnika przy pracy (Fougerson: Trybuna górnika) — do postaci będących dziś symbolem jego walki i postawy moralnej (portrety Henri Martina — Fougerson, Taslizky). Obok tego manifestacje i pochody, wojna wypowiedziana wojnie (Singer: 14 lutego 1951 w Nicei — topienie broni amerykańskiej w morzu), satyra na istniejące porządki, okupantów amerykańskich i domorosłych dyktatorów, karykatura polityczna (Lorjou: Konferencja, rysunki Mittelberga i Fougersona).

Na wystawę, która spotkała się w Warszawie z żywym zainteresowaniem, przybyła również delegacja artystów francuskich. Wzięli oni udział w zorganizowanej przez Państwowy Instytut Sztuki dyskusji, która podkreśliła wspólne tendencje i cele plastyków francuskich i polskich. W referatach i przemówieniach położono akcent na trudności, z jakimi walczyć musi postępowy artysta francuski, często wręcz przesładowany przez czynniki oficjalne, czego najlepszym dowodem jest fakt odrzucenia 7 prac na ostatnim paryskim Salonie Jesiennym. Wyśięk artystów pracujących w takich warunkach nabiera tym więk-



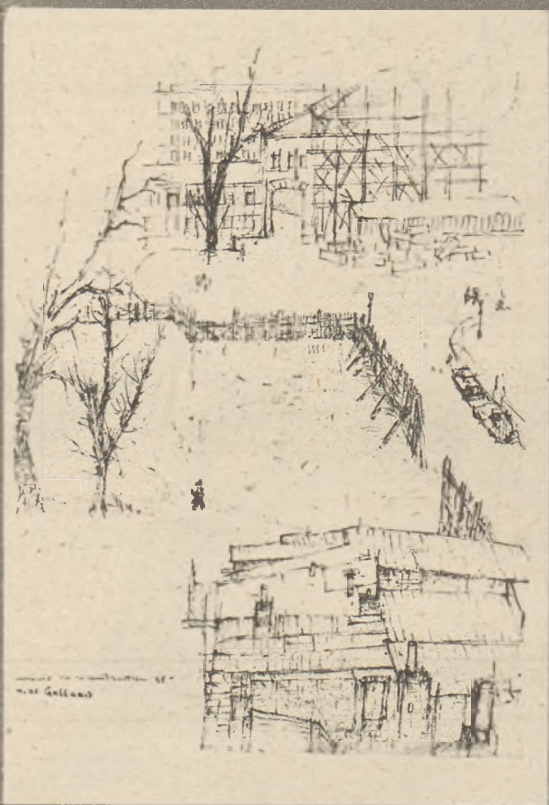
Plastycy francuscy podczas dyskusji w Zachęcie

szej wagi ideologicznej.

Rysunki, które reprodujemy, zostały zrobione przez Francuzów w czasie ich wędrowek po Warszawie. Są to notatki ołówkiem, lub piórem, bezpośrednie impresje z rzeczy widzianych. Przewijają się

tu najczęściej fragmenty odbudowującego się miasta — architektura zabytkowa lub nowa — to właśnie, co stanowi o typowości pejzażu warszawskiego, tak atrakcyjnego dla artystów naszych i obcych.

(J. G.)



Gallard: Warszawa w odbudowie



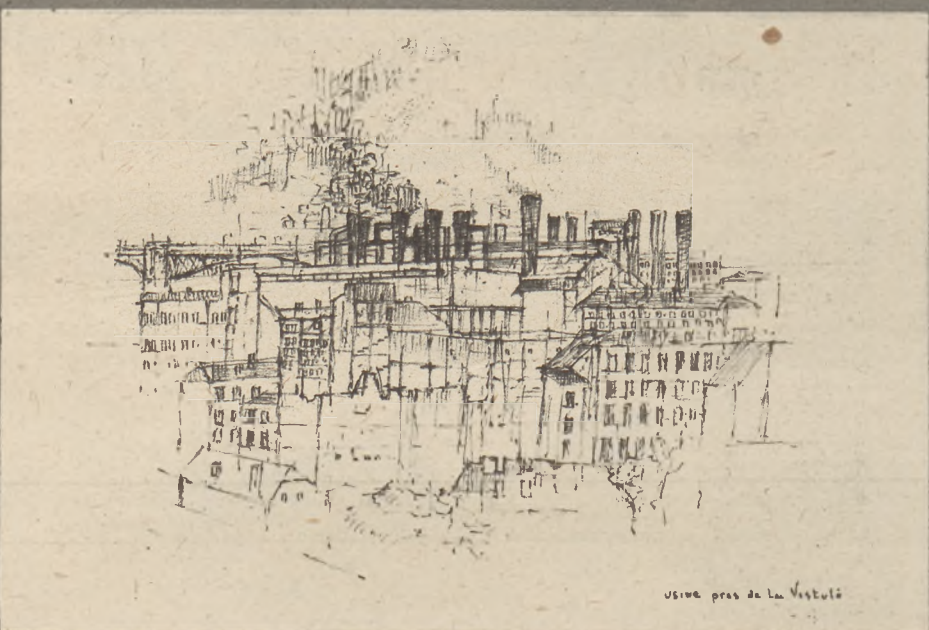
Lanstaux: Pałac Potockich



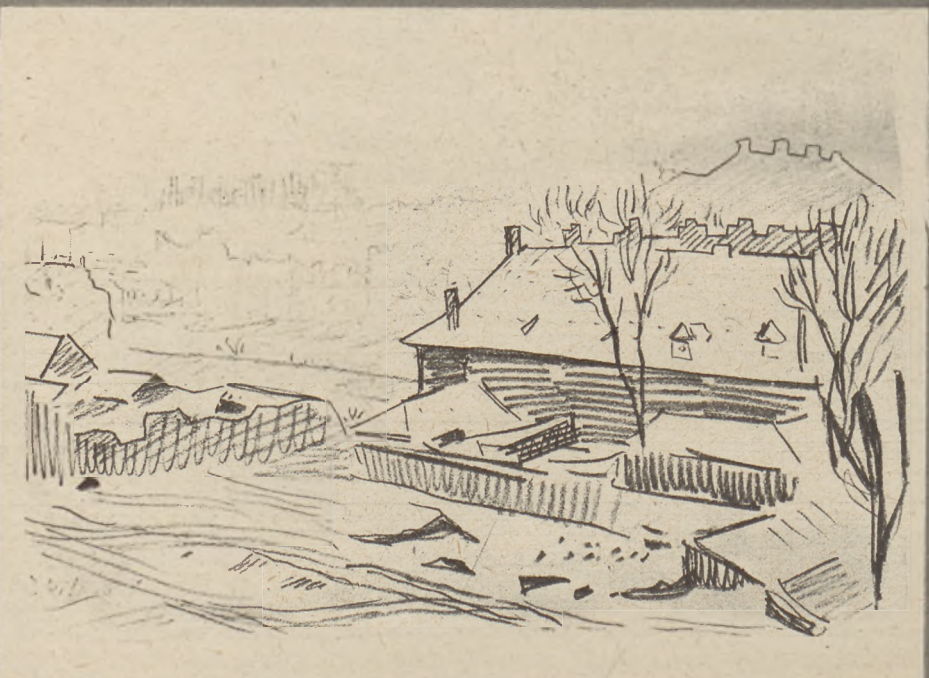
Lanstaux: Kolumna Zygmunta



Milhau: Krakowskie Przedmieście



Gallard: Elektrownia nad Wisłą



Milhau: Widok ze Skarpy

JAK LATARNIA W CIEMNOŚCI...

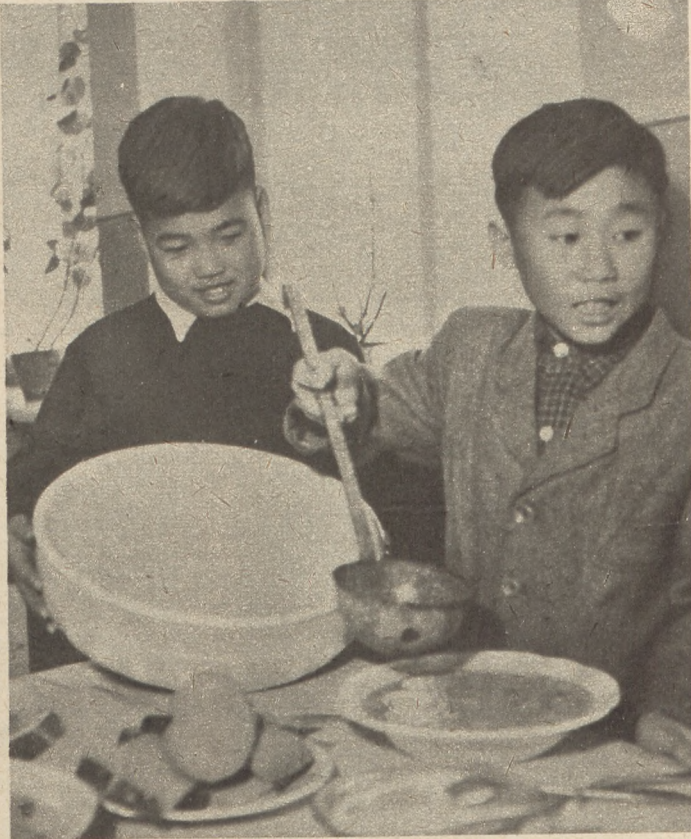
MARIAN BRANDYS — Zdjęcia: PAULINA KORNECKA



TE USMIECHNIĘTE DZIECI NAJLEPIEJ ZROZUMIAŁY SENS SŁÓW — „NASZ DOM JEST WASZYM DOMEM”



Właśnie kończy się poranna gimnastyka. Najwyższy więc już czas przygotować dla kolegów smaczne śniadanie.



Proszę się nie dziwić, że tak dużo sobie naląłem do talerza, ale ta zupa jest przecież naprawdę wyborna...

DZIEŃ rozpoczyna się tu o pół do siódmej poranną gimnastyką. Chłopcy ćwiczą na pierwszym piętrze z wesołym nauczycielem Czanem — dziewczynki na drugim z tłuściutką wychowawczynią Ten Gi-czir. Sama gimnastyka nie wiele różni się od polskiej, ale tempo jej wprost oszałamia. Dwieście małych postaci, odzianych w barwne piżamki, przez piętnaście minut, bez najmniejszej pauzy, zwija się w nieustannym ruchu. Chana... dul... set... net... (raz — dwa — trzy — cztery). Chana... dul... set... net... Niech sen ucieka z młodych ciał. Niech szybko krąży młoda krew. Chana... dul... set... net... Chana... dul... set... net...

Po gimnastyce: baczność. Dwieście barwnych piżamek zastyga w sprężonym bezruchu.

I nagle: co to... Czy uderzono w srebrny dzwon?

Z dwustu dziecięcych gardel, z nieoczekiwaną mocą, zrywa się pieśń o obcej, urzekającej melodyce:

*Śniegi i wiatry mandżurskich
stepów, opowiadajcie...
Milczące noce nieprzenikniętych
borów, mówcie...*

*Kto był sławnym partyzantem?
Kto był sławnym partyzantem?*

I dwieście wibrujących głosików wybucha akordem najwyższego zachwytu:

*Aa — aa — aa
To drogie imię naszego wodza...
Aa — aa — aa
To Kim Ir-sen...*

Smagłe policzki dzieci ciemnieją od napływu krwi. Skośne, błyszczące oczy śmieją się do nowego dnia.

Tak wita się rano w Państwowym Domu Dziecka w Gołotczyźnie.

Istotę cudownego procesu uzdrawiającego, jaki przeprowadzono w Gołotczyźnie na dwustu umęczonych przez wojnę sierotach koreańskich, najpełniej oddaje drobne zdarzenie, które znam z opowiadań polskich wychowawców. Jest to historia o chłopcu, który nie chciał jeść.

Ów chłopiec, nazwiskiem I Czun-chin, przez pierwsze dwa tygodnie pobytu w Gołotczyźnie zachowywał się zupełnie normalnie, to znaczy: szybko odzyskiwał humor, jadł za trzech i w krótkim czasie przybrał kilka kilogramów na wadze. Ale po dwóch tygodniach normalnego życia nabawił się jakiejś podejrzanej wysypki, więc musiano go oddzielić od kolegów i przenieść do „izolatki” przy Izbie Chorych... Wtedy całe jego zachowanie uległo radykalnej zmianie.

Chłopiec stał się nieznosny dla pielęgniarek i uparcie odmawiał przyjmowania pokarmów. Zaczęły go dręczyć złe sny. Budził się z krzykiem w środku nocy. W ciągu dwóch dni wyraźnie spadł na wadze.

W Izbie Chorych sądzono, że chłopiec pragnie tym zachowaniem wymusić uwolnienie z „izolatki”. Dopiero znacznie później, po przełamaniu początkowych trudności językowych — stało się jasne, że przyczyna jego ówczesnego zachowania była inna.

I Czun-chin miał za sobą ciężkie przeżycia, lisynmanowcy w jego oczach zamęczyli całą jego rodzinę: rodziców i starszą siostrę — a potem ich żywe jeszcze ciała wrzucili do grobu i przywalili ziemią. Kiedy leżał na rodzinnej mogile, próbując ją rozdrapać palcami, smagnął go po sercu czyjś śmiech. Ten straszny śmiech bestii w mundurze amerykańskiego oficera był ostatnim odgłosem, jaki usłyszał przed omdleniem. I nie mógł go już później z uszu wyrzucić... Włókł z sobą jego wspomnienie pod gradem bomb przez cały marsz ewakuacyjny z Phenianu. Budził go ten śmiech po nocach jeszcze w Domu Dziecka w Si Niu-siu — skąd nastąpił wyjazd do Polski. Dopiero w podróży przez Chiny i Związek Radziecki straszne wspomnienie pierzchnęło pod naporem

Dalszy ciąg na str. 8

nowych wrażeń. W pogodnej atmosferze Domu Dziecka w Gołotczyźnie, w gwarze jego zbiorowego życia, I Czun-chin uspokoił się zupełnie.

Ale już w pierwszą samotną noc w „izolacie” wspomnienie wróciło. Białe, wygodne łóżeczko, na którym leżał, zmieniło się w świeżą mogiłę w spalonej wiosce koreańskiej. Z ciemności straszyl sznyderczy śmiech żołdaka. Gardło I Czun-china zdławił skurcz. Od tej chwili nie mógł już jeść ani spać.

Wówczas całej tej historii jeszcze w Gołotczyźnie nie znano. Wiedzano tylko, że po trzech dniach upartej głodówki sytuacja staje się poważna. Postanowiono więc zastosować leczenie zastrzykami wzmacniającymi.

Ale ówczesna kierowniczka Domu uznała, że przed interwencją medyczną należy podjąć jeszcze ostatnią próbę wychowawczą. Poleciała przenieść do swego gabinetu przeznaczony dla chorego talerz manny. Postawiła go na biurku. Obok rozłożyła książkę z pięknymi ilustracjami, a po zakończeniu tych przygotowań wezwała samego I Czun-china.

Powitała chłopca tak serdecznie, jak tylko serdecznie powitać można drugiego człowieka, z którym nie posiada się żadnego wspólnego języka, poza ciepłym uśmiechem, dwoma ubożuchnymi słówkami: „je” (tak) i „animida” (nie) oraz znajomości dwóch równie ubogich gestów: podnoszenia dużego palca dla wyrażenia pochwały i podnoszenia małego palca, na znak nagany.

I Czun-chin zajął posłusznie wskazane miejsce przy biurku, otwartą książkę musnął zaledwie kątem oka, na mannę nawet nie spojrzał — po czym skulił się, oklapł, zapadł w zwykłe, ponure przygnębienie.

Pierwsza faza rozmowy była krótka. Dyrektorka, łamiąc surowy zakaz le-

karski, pogłaskała I Czun-china po głowie, po czym wskazała zachęcająco na talerz z manną i z serdecznym uśmiechem uniosła ku górze wielki palec. Znaczyło to: — Bardzo dobra ta manna. Spróbuj, dziecko. —

I Czun-chin, nie podnosząc oczu, odchylił ze wstrętem swój mały, brunatny paluszek. Znaczyło to: — Bardzo zła, obrzydliwa. Mdli na sam widok. —

Potem zapadło długie, głuche milczenie.

Dyrektorka Domu była wieloletnią, doświadczoną wychowawczynią, mądrą kobietą, a ponad to matką, której wojna na zawsze rozdarła serce, zabierając jej ukochanego syna. Było jej ogromnie żal brunatnego majca, który siedział przed nią, pogrążony w swym ciężkim zmartwieniu. Nie знаła przyczyn tego zmartwienia, ale domyślała się jego natury. Chciałaby tego chłopca za wszelką cenę pocieszyć i utulić, może nawet zapłakać z nim wspólnie. Ale, żeby móc wspólnie płakać, trzeba powiedzieć sobie przed tym wiele słów, a tych słów właśnie brakowało. Jak okrutną zaporą jest brak wspólnego języka. Jeszcze nigdy dyrektorka nie czuła się tak bezradna, jak w owej chwili, wobec tego małego, zrozpaczonego cudzoziemca.

Wysiłała się znowu na czuły, macierzyński uśmiech i uniosła obydwie dłonie z szeroko rozpostartymi palcami. Znaczyło to:

— No, zjedz, synku. Tylko dziesięć łyżek. —

Ale I Czun-chin zmarszczył niecierpliwie brwi i mruknął gniewnie:

— Animida (nie) —

Dyrektorka zrozumiała, że ostatnia próba wychowawcza zawodzi. Przez chwilę poczuła się bardzo zmęczona i bardzo samotna. Opadły ją ciężkie wspomnienia, przed którymi broniła się przez wszystkie godziny dnia wytężoną pracą. Jeszcze raz pogłodziła czarną, lśniąca czuprynę chłopca i znowu unios-

ła obie dłonie z szeroko rozpostartymi palcami.

— No, synku: tylko dziesięć łyżek... —

Trzymała podniesione dłonie bardzo długo. Sama nie wiedziała jak długo. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy poczuła, że po policzku spływa jej łza.

Zobaczyła, że mały I Czun-chin przygląda się jej spode łba smutnym, zmęczonym spojrzeniem starego, koreańskiego chłopca.

Szybko stała z twarzy kompromitujący dowód słabości i ze świeżą energią uniosła do góry palce:

— No, syneczku... —

Nastąpiła długa, męcząca przerwa, w czasie której słysząc było wyraźnie ciężkie, urywane sapanie I Czun-china.

Potem w stronę dyrektorki wysunęła się leniwie mała, brunatna ręka z rozczapierzonymi pięcioma palcami. I I Czun-chin, krzywiąc się okropnie, zjadł pięć łyżek wystygłej kaszy.

Wtedy dyrektorka poczuła się tak szczęśliwa, jak nie była jeszcze nigdy od śmierci syna. Wstała zza biurka, usiadła obok małego Koreańczyka i, łamiąc po raz nie wiadomo który zakaz lekarski, przytuliła chłopca do siebie mocnym, macierzyńskim uściskiem. Potem zabrali się wspólnie do przeglądania ilustracji. A kiedy książka była już przejrzana do połowy, dyrektorka — nie zdejmując ramienia z barków chłopca, ruchem tak ostrożnym, jakby obawiała się stłuc coś bardzo cennego i kruchego, podsunęła mu przed oczy swą drugą rękę z rozwartymi pięcioma palcami.

— Syneczku... —

I I Czun-chin — mocno pociągając nosem — zjadł do końca zupełnie już stęziałą mannę.

Po obejrzeniu wszystkich ilustracji, chłopiec podniósł oczy znad książki i spojrzał na dyrektorkę takim wzrokiem, jakby miał jej wiele, bardzo wiele do opowiedzenia. Ale wyrzekł tylko jedno krótkie słowo: — O — moni (mama)... —

Brunatne dzieci z Gołotczyzny wyniosły z przeżyć wojennych w swoim kraju mściwą, śmiertelną nienawiść do białego człowieka.

Dzisiaj w jasnych salach i korytarzach ich Domu rozbrzmiewają najczęściej dwa polskie słowa: mama i tata.

Tymi najpiękniejszymi nazwami mowy dziecięcej mali Koreańczycy obdarzają wszystkich pracowników polskiego personelu Gołotczyzny.

Jest więc tata Dyrektor i mamy „Uczycielki”, tata intendenta Siekierzyński, wiecznie skłopotana mama Łoboda z administracji i zażywna mama Parypińska z kuchni, jest młodziutki tata Zbyszek i dziewiętnastoletnia mama Henia, opiekunka małych Koreanek.

A warto widzieć, jak się cieszą tymi swoimi nowymi tytułami polscy „tatusie” i „mamusie”. Jak się nimi w skrytości ducha pyszną i jak ich zazdrośnie strzegą.

Pielęgniarka z Izby Chorych — jedyna pracowniczka polskiego personelu, nazywana przez dzieci „siostrą” — w mojej obecności zbuntowała się przeciwko temu oficjalnemu tytułowi i oświadczyła, że ona także pragnie być „mamą”.

I już następnego dnia przybyła Gołotczyźnie jeszcze jedna „mama” — mama Siostra.

„A-gat-ka pra-cu-je i my pra-cu-je-my”.

Zza niedomkniętych drzwi klasy dobiega powolne skandowanie pracowniczego chóru. Mali Koreańczycy uczą się języka polskiego.

Zapał tych dzieci do nauki wprost zadziwia. Polskiego elementarza przez cały dzień nie wypuszczają z rąk. Wieczorami nie można ich oderwać od koreańskich podręczników.

Ktoś mi kiedyś powiedział: „Ten pęd do wiedzy, to już taka przyrodzona cecha psychiki ludzi Wschodu”.

Nie znam „przyrodzonych cech” ludzi Wschodu czy Zachodu i sądzę, że ta sprawa wygląda nieco inaczej. Po prostu: dzieci koreańskie doskonale wiedzą, jaką korzyść mają wynieść ze swego pobytu w Polsce.

Wystarczy zapytać o to najmniejszego z koreańskich chłopców. Z trudem dobierając słowa, odpowie: „Ja... Polska... ucić się... — potem... Koree... ka-

pitan...*) budowa... Tam... dużo nie ma...” —

W poprawnym języku oznacza to — „Tu, w Polsce mam się uczyć, żeby z czasem zająć kierownicze stanowisko w odbudowie mego kraju, zniszczonego przez imperialistów”.

Więc niech nam nie zwracają głowy bzdurami o „wrodzonych cechach psychiki ludzi Wschodu”. Li Syn-man — w czasie trzydziestoletniej emigracji w Ameryce — z pewnością nie przygotowywał się do odbudowy swojej ojczyzny.

Słuchajmy, jak pięknie brzmi ten młody chór:

„A-gat-ka pra-cu-je i my pra-cu-je-my”.

Agatko z polskiego elementarza, ty nawet nie wiesz, jaką miłość zaskarbiasz sobie u bohaterskiego narodu koreańskiego, tym, że ułatwiasz pierwsze trudne kroki jego przyszłym kapitanom.

* * *

Co pewien czas koreańscy wychowawcy informują ostrożnie swych wychowanków o sytuacji wojennej w Korei.

Niedawno na lekcji historii koreańskiej w siódmej klasie nauczyciel Chan powiedział uczniom, że wobec amerykańskich zrzutów bakteriologicznych Rząd Republiki uznał za konieczne dalszą ewakuację dzieci. Pięćset z nich wysłano do Rumunii — dwieście do Czechosłowacji.

W siódmej klasie mam przyjaciela — czternastoletniego partyzanta Li Chio-sika. Spotykam go w chwili, gdy opuszcza klasę. Z namarszczonymi brwiami bągrze coś w skupieniu na ręce, która w nagłych wypadkach zastępuje mu brulion.

— „Pokaż no, przyjacielu Li Chio-sik, co tam wypisałeś”.

*) Mali Koreańczycy słowem kapitan nazywają każdego wysokowartościowego pracownika.

W TYM WYPADKU POROZUMIEMY SIĘ, PROSZĘ MÓWIĆ: A-A-A-A...



DZIEŃ ROZPOCZYNA SIĘ O SIÓDMEJ





Autor reportażu, Marian Brandys, wśród swych małych koreańskich przyjaciół. Dwaj chłopcy (z prawej) to partyzanci: Li-Wan i Li Chio-sik.

Podaje mi rękę bez zwykłego, u-
przejmego uśmiechu. Spojrzenie jego
skośnych, rozgniewanych oczu zdaje
się uciekać w głąb. Na grzbiecie dłoni
ma wypisane atramentem dwie liczby:
200 i 500.

— Niedobrze, tata — mruczy w
strapieniu — Koree... śmierć. Nie-
dobrze, tata, barzo niedobrze.

Przyglądam się bez słowa dwu
liczbom na powalanej atramentem
chłopięcej ręce Li Chio-sika. Oto jest
sprawozdanie z „amerykańskiej woj-
ny“.

Dom dzieci koreańskich stoi wśród
rozległej, płaskiej jak stół, równiny

mazowieckiej. Wieczorami — kiedy w
jego szerokich oknach rozbłyskują
wszystkie światła — widać go z bar-
dzo daleka. Wygląda wtedy jak wielka
latarnia, rozjaśniająca drogę ludziom
błądzącym w ciemnościach.

Kiedys o tym Domu będą opowia-
dać w Korei: „W czasach, gdy rozbe-
stwień imperialiści zabijali bombami
i bakteriami śmierci naszych ojców
i nasze matki, był w Polsce Ludowej
dom, w którym okrutnie skrzywdzone
sieroty koreańskie kochano jak własne
dzieci“.

MARIAN BRANDYS

GIMNASTYKA. CHANA... DUL... SET... NET..., (RAZ-DWA-TRZY-CZTERY)



Nieznana w Korei odmiana pajaków, zakażonych chorobotwórczymi bakteriami. Śmiertelne owady zrzucone zostały z amerykańskiego samolotu.

BW w akcji

„Propaganda komunistyczna zmierza
do zneutralizowania wszelkiej tajnej
broni bakteriologicznej, znajdującej się
w posiadaniu Ameryki, chce zmusić
Stany Zjednoczone, by wyrzekły się
publicznie jej używania“ — pisze z obu-
rzeniem reakcyjny tygodnik amerykań-
ski „Newsweek“ w numerze z dn.
7 kwietnia br. Organ Domu Morgana
i multimilionera Harrimana wyraża
przekonanie, że rząd amerykański nie
ugnie się i nie wyrzeknie broni bak-
teriologicznej. Tak samo jak nie wy-
rzekł się broni atomowej. Wszak tyle
milionów dolarów włożono w badania
nad ludobójczymi środkami masowej
zagłady...

W roku 1946 Gerald Piel pisał w ty-
godniku „Life“ (18.XI.1946), że jedno-
stka badawcza Nr 1 Marynarki Wojen-
nej prowadzi na Uniwersytecie Kalifor-
nijskim studia „nad pewną chorobą za-
kaźną, której nazwa musi być chwilowo
zachowana w tajemnicy, ale której
śmiertelność właściwości znane były
od stuleci“. Badania te pozostawały w
ścisłym związku z eksperymentami
rozpoczętymi w r. 1942 na terenie obo-
zu Detrick stan Maryland, i innych
placówek pomocniczych w stanach
Mississippi, Indiana i Utah. Jak stwier-
dzał „Life“, badania te zmierzały do
„ustalenia ofensywnych możliwości
niektórych czynników bakteriologicz-
nych“.

Badania te prowadzone były pod nad-
zorem zorganizowanej w r. 1942 jedno-
stki wojskowej, używającej kryptonimu
BW (Bacteriological Warfare — strate-
gia bakteriologiczna).

Osiągnięcia BW zostały ujawnione w
grudniowym zeszycie czasopisma nau-
kowego „Discovery“ z r. 1950 w arty-
kule Chapmana Pinchera. Pisał on:

„Ostatnie posiadane przeze mnie in-
formacje wskazują, że w Stanach Zjed-
noczonych wynaleziona została broń
umożliwiająca prowadzenie długotwa-
łej wojny bakteriologicznej. Broń ta

może być w każdej chwili użyta w ce-
lach operacyjnych“.

Chapman opisuje tę broń w sposób
następujący:

„Jest to bomba, złożona z kilku czte-
rofuntowych zbiorników. Każdy z nich
zawiera kilka centymetrów sześci-
ennych czystej kultury mikrobów.“

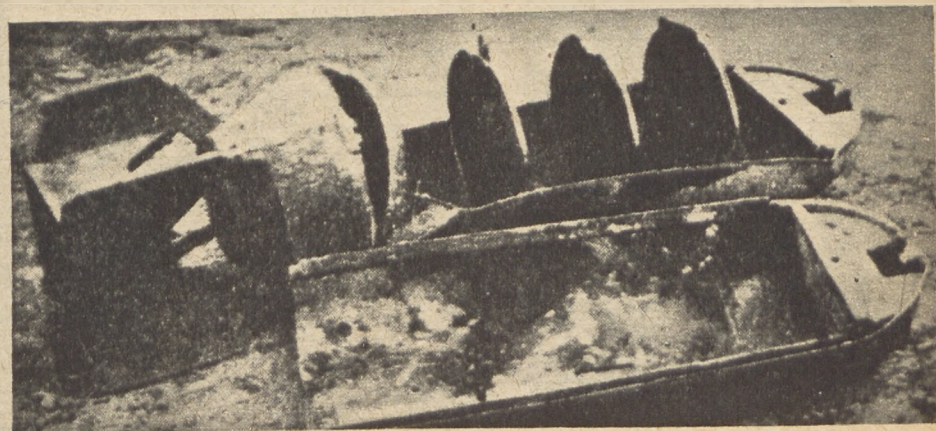
„Zrzucona z samolotu na znacznej wy-
sokości bomba pęka nad ziemią, zbiór-
niki rozsypują się w podobny sposób jak
bomby zapalające. Każdy zbiornik za-
opatrzone jest w zapalnik uderzeniowy
lub pneumatyczny, który powoduje wy-
buch małego ładunku. Próby prze-
prowadzone w stanie Utah wykazały, że
bakterie dobrze znoszą wstrząs i tem-
peraturę wybuchu.“

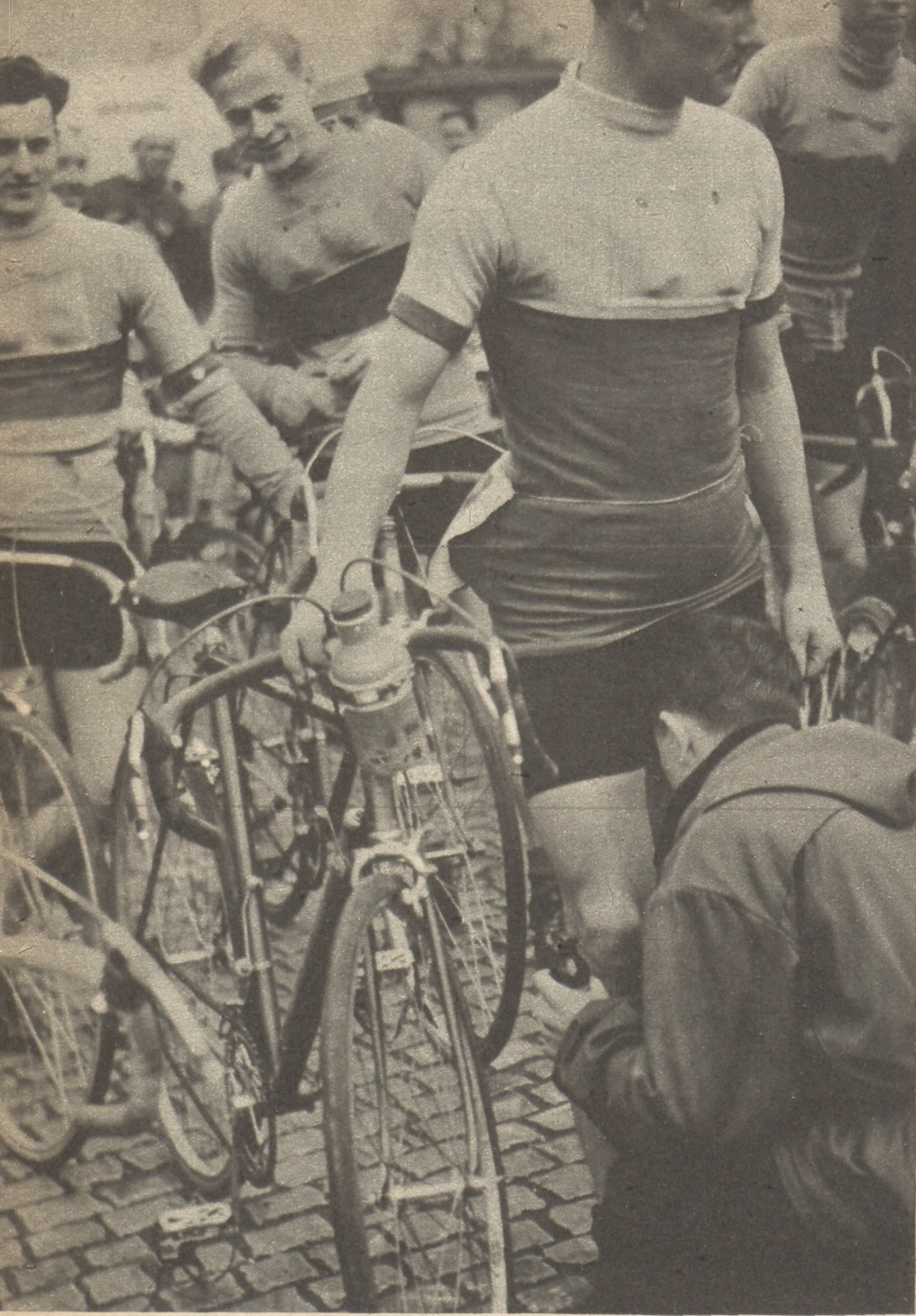
„Taka broń zdaje się posiadać olbrzy-
mie znaczenie, jako broń terrorystyczna,
a także jako środek likwidowania punk-
tów oporu nieprzyjaciela oraz unieru-
chomiania ośrodków przemysłowych
położonych daleko za frontem, nie wy-
magających natychmiastowej okupacji“.

W dalszym ciągu Chapman stwierdza,
że doświadczenia przeprowadzone w
Obozie Detrick w USA oraz w brytyj-
skiej placówce badań broni bakteriolo-
gicznej w Porton, Salisbury Plain, „do-
wodzą, że kilkanaście różnych typów
bakterii wywołujących epidemie zasto-
guje obecnie na wypróbowanie w prak-
tycznych działaniach wojennych“.

W świetle tych wywodów wszystko
staże się przeraźliwie jasne. Koła rzą-
dzące Ameryki doszły do wniosku, że
czas na wypróbowanie w praktyce broni
bakteriologicznej. Niesposób jednak
przeprowadzić prób na terenie Stanów
Zjednoczonych, jak się to dzieje z bom-
bą atomową w pustynnych okolicach
Nevady. Broń bakteriologiczną trzeba
wypróbować na żywych ludziach, w rze-
czywistej akcji bojowej. I oto staliśmy
się świadkami największej od czasów
Hitlera zbrodni ludobójstwa — wojny
bakteriologicznej, rozpętanej przez A-
merykanów w Korei i Chinach!

Jedna z bomb bakteriologicznych, zrzuconych ostatnio przez Amerykanów w Korei.

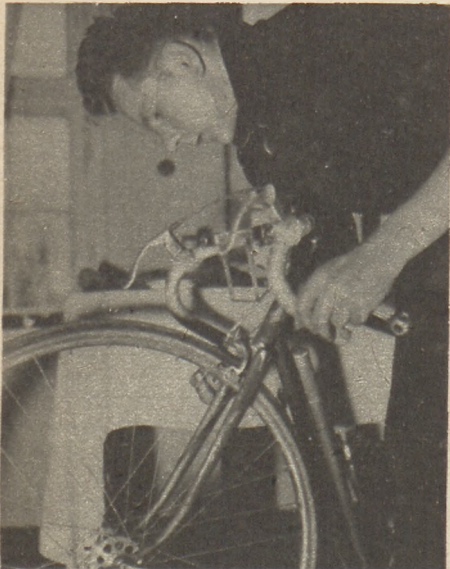




Za chwilę start do pierwszej eliminacji. Wójcik wie, że masaż nóg na krótko przed startem dobrze wpłynie na pracę mięśni w czasie jazdy na trasie.

BYŁO to w Katowicach, rok temu. Chodniki zapchane — że ani szpilki wetknąć. Po brzegu jezdni przechadzali się z powagą milicjanci. Nagle napięty się do ostatnich granic liny oddzielające chodnik od jezdni. Wiatr, trzepocący płótnem różnobarwnych flag, przyniósł z daleka narastający szum oklasków i okrzyków. Wyciągnęły się wszystkie szyje, tysiące par oczu zwróciły się w jednym kierunku. Jakiś wysoki młodzieniec w załuszczonej kombinezonie wdrapał się zrecznie na słup latarni ulicznej, spojrzął w stronę wylotu ulicy — i zawołał:

Hadasik po raz setny chyba przegląda swój rower. Pod względem troski o sprzęt jest wzorem dla swych kolegów.



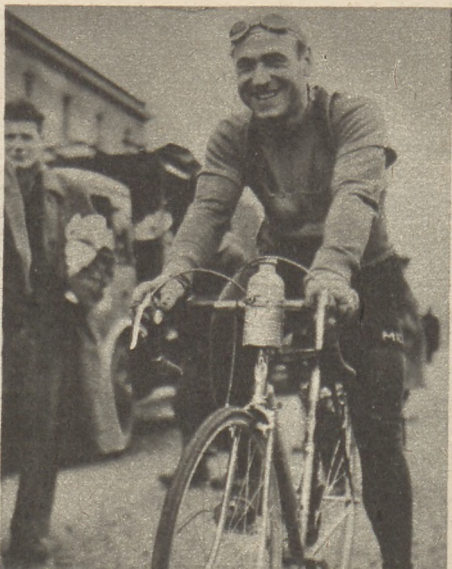
— Jada! Nasi jada!

Poprzedzani grzmiotem oklasków pokazali się kolarze. Najpierw Duńczyk, potem kolarze z NRD, dalej przedstawiciel robotniczej Francji, a następnie czterech Czechosłowaków. Gdy ucichły oklaski, ktoś z dołu zwrócił się do siedzącego na latarni młodzieńca:

— Eeee, przecież to sami cudzoziemcy...

— No to co? To nie nasi?

Trudno odmówić słuszności owemu katowickiemu ślusarzowi czy elektromonterowi; przecież w tak lapidarny, jasny sposób wyłożył ideę dorocznego Wyścigu Pokoju. Nasi — to ci wszyscy,



Klubiński, repatriant z Francji, pozuje do zdjęcia. Za minutę uda się wraz z innymi w 113-kilometrową drogę.

A POTE M NA

E. KARŁOWICZ — Zdjęcia: Z. MAŁEK

którzy swoim udziałem i sportową walką manifestują przeciw wojnie, za współpracą i przyjaźnią narodów. Nasi — to ci, których za kilka dni będą na długim, ponad 2000-kilometrowym szlaku witać flagi z białym gołębkiem i serdeczne okrzyki uznania i zachęty.

W piękny naprawdę sposób czczą kolarze święto 1 Maja i pamiętną rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem. Piękną wymowę ma fakt, że trasa tegoroczna prowadzi przez pokojowy, odbudowujący się Berlin demokratyczny. I dlatego ta wielka impreza przenosi w nasze czasy najchlubniejszą tradycję starogreckich Olimpiad — świat sportowych, które narzucały pokój.

* * *

Przez swą ogromną wagę polityczną Wyścig Pokoju nie utracił nic ze swych walorów sportowych. Przeciwnie — zyskał rozgłos i ogromną popularność, stał się największą na świecie imprezą kolarzy-amatorów. Z każdym rokiem rosła ilość państw, uczestniczących w Wyścigu, z każdym rokiem podnosił się jego poziom sportowy. Zaciętsza była walka, cenniejsze zwycięstwo. Organizatorami dotychczasowych Wyścigów Pokoju były dwa centralne organy prasowe: nasza „Trybuna Ludu” oraz czechosłowackie „Rude Právo”. W roku bieżącym trzecim współorganizatorem biegu będzie niemiecka „Neues Deutschland”.

Wielu miłośników kolarstwa pamięta zapewne sukces, jaki odniosła nasza drużyna, zajmując w 1948 roku pierwsze miejsce. W rok później kolarze nasi zajęli drugą lokatę, a w roku ubiegłym uplasowali się na szóstym miejscu. Ta idąca w dół krzywa mocno niepokoi teraz — w przeddzień V Wyścigu Pokoju — licznych kibiców naszych kolarzy.

Dlatego opowiemy dziś, jak się nasza reprezentacja przygotowuje do odpowiedzialnego startu w wyścigu Warszawa-Berlin-Praga.

W pierwszym miesiącu tegorocznej zimy, w lutym, zorganizowany został dla naszych kolarzy obóz kondycyjny w Wiśle. Pod koniec marca na zaproszenie kolarzy bułgarskich wyjechała nasza ekipa do Płowdiw. W okresie, gdy na polskich drogach hulały zamiecie śnieżne — na słonecznej szosie Płowdiw — Sofia ćwiczyli zgodnie Bułgarzy i Polacy. A teraz czołowi nasi kolarze przebywają na obozie we Wrocławiu, gdzie zostanie ostatecznie wyłoniona spośród najlepszych drużyna narodowa.

* * *

Jesteśmy we Wrocławiu, w nieczynnym obecnie Ośrodku Sportów Wodnych. Żeglarze jeszcze nie rozpoczęli sezonu — tymczasem królują tu nasi najlepsi kolarze i ich srebrno-niebieskie „Bałtyki”.

Gabrych jest dobrej myśli — liczy, że znajdzie się w pierwszej dziesiątce. I był rzeczywiście ósmy na mecie.



Nie zastajemy ich jednak w Ośrodku — są na południowej przejażdżce. Spotykamy za to troskliwych opiekunów — trenera Wisznickiego, lekarza Szymczyka i masażystę Kudertę.

— Jak tam było w Bułgarii? — Wisznicki uśmiecha się; nie po raz pierwszy słyszy to pytanie. — No cóż, przerobiliśmy wszystkie ćwiczenia, jakie były zaplanowane. Klimat znakomity, do kuchni przyzwyczailiśmy się szybko. Szosa Płowdiw — Sofia ma tę zaletę, że na niedługich odcinkach posiada wszystkie profile, od zupełnie płaskich do dość stromych spadków. No i okolice są bardzo ładne, a to ma duże znaczenie, bo przy ciekawych krajobrazach zawodnik odpoczywa psychicznie.

— A współpraca z Bułgarami?

— Naprawdę ściśła. Zawodnicy trenowali razem, a my, trenerzy, to znaczy Biczew i ja, dzieliłiśmy się doświadczeniami. Tak dla przykładu podam, że trener Bułgarów przejął moje metody przygotowania gimnastycznego, a ja się u niego uczyłem naukowego podejścia do pracy trenera. Co mi się bardzo podobalo w Bułgarii — to sportowe filmy szkoleniowe. To nie obrazy, tylko rzetelnie opracowane krótkometrażówki, które naprawdę pomagają w umosowieniu sportu. I kina są zawsze zatłoczone...

Wisznicki opowiada obszernie o treningach kolarzy. Słabą stroną naszych zawodników w poprzednich biegach było niedostateczne przygotowanie kondycyjne oraz brak umiejętności jazdy zespołowej.

Nawet najlepszy kolarz, kiedy nie ma oparcia w kolegach z zespołu, nie może wiele zdziałać. Uda mu się jeden etap czy drugi — a potem awaria, załamanie — i zjeżdża na czterdzieste miejsce. Tylko kolektywna praca, kolektywny wysiłek może przynieść sukcesy.

Dlatego wiele trudu wkłada trener Wisznicki w przyzwyczajanie swych pupilów do jazdy zespołowej. I ma podobno duże sukcesy w tej dziedzinie.

— Nawet taki indywidualista, jak Wójcik, nauczył się tego. Zobaczycie zresztą jutro, na eliminacji...

I rzeczywiście widzieliśmy. Przez dwadzieścia przeszło kilometrów jechaliśmy za czołową trójką, której sukces jest dużą zasługą Wójcika. Ale o tym później.

Bo oto właśnie wrócili z przejażdżki zawodnicy — członkowie obozowej kadry. Najpierw pod natrysk — potem mają trochę wolnego czasu. Każdy spędza go inaczej. Liśkiewicz i Jarząbek obsadzili stół ping-pongowy. Wrzesiński woli siatkówkę, Hadasik, dziś już chyba po raz dziesiąty, majstruje przy swoim rowerze: każdy szczegół przejrany — jutro nie śmie nic nawalić...

A masażysta Kudert, doskonały kiedyś kolarz, ma pełne ręce roboty i to w najdosłowniejszym sensie. Zabieg trwa pół godziny — toteż przepuścić dwunastu kolarzy w ciągu dnia wcale nie łatwo.

Obiad spożywają kolarze i opiekunowie przy jednym stole, w prawdziwie rodzinnym nastroju. Potem odpocznik — i informacja prasowa. Dzień zaplanowany dokładnie i wypełniony bez reszty.

* * *

Nazajutrz eliminacja. Pierwsza z czterech, które wyłonią w rezultacie dwunastu najlepszych kolarzy. Z tej dwunastki z kolei zostanie wybrana reprezentacyjna szóstka.

W eliminacji biorą udział — obok obozowej dwunastki — najlepsi kolarze wszystkich zrzeseń. Na starcie widzimy weterana Kapiaka, Salygę, Micha, Wilczewskiego, Ulika... Czy ulegną członkom kadry? To się okaże na 113-kilometrowej trasie Wrocław-Brzeg-Wrocław.

Start! Ruszyła zwarta grupa ponad sześćdziesięciu kolarzy, eskortowana przez wozy techniczne i sędziowskie. Kadrowicze na czele. Dyktują tempo. Grupa powoli rozciąga się, rozpada na mniejsze grupki. W pierwszej ponad trzydziestu kolarzy, w tej liczbie wszyscy członkowie kadry. Już nie wszyscy:

WYŚCIG POKOJU

na 16 kilometrze młody Jarząbek „złapał gumę”. Później Chwiendacz miał defekt pedału. W sumie jednak uszkodzeń było mało. Nie one zresztą były przyczyną, że czołówka tajała z każdym kilometrem: nie każdy był przygotowany na tempo ponad 40 kilometrów na godzinę.

Na półmetku za Brzegiem w czołowej grupie jechało już tylko 17. W Oławie — 16. Meta coraz bliżej. Oto „urywa się” Wójcik. Metr, dwa, pięć przewagi. Już dziesięć, dwadzieścia... Za nim Klabiński. Dochodzi go bez trudu. Próbuje Hadasik — nie daje rady, i oto cichy i spokojniutki Królak pochyła się nagle nad kierownicą i jak wiatr pędzi za uciekinierami. Coraz bardziej wyprzedza grupę, już jest przy Wójciku i Klabińskim.

W tej oto trójce przodowników kierowniczą rolę odegrał Wójcik. Dał prawdziwy koncert jazdy zespołowej. Podnosił się na pedałach, patrzył, gdzie są goniący, dyktował zmianę prowadzącego, nadawał tempo. I trójka nie dała sobie wyrwać prowadzenia do samej mety. Wygrała o dziesięć sekund. Uparły Hadasik, który nie zrezygnował z pościgu, przyszedł czwarty.

Nie wiemy jeszcze, którym kolarzom przypadnie zaszczyt reprezentowania naszych barw na V Wyścigu Pokoju. Wiemy tylko, że się wiele nauczyli, że są pod każdym względem lepiej przygotowani, niż w latach ubiegłych. Wierzymy, że w pięknej imprezie pokoju i braterstwa będą godnie reprezentować nasz sport.

Teraz we Wrocławiu trwają ostatnie przygotowania. Czołowi kolarze pracują nad osiągnięciem szczytowej formy. Uczą się, podnoszą nie tylko swe kwalifikacje sportowe, ale i wyrobienie obywatelskie. Wykorzystując wspaniałe warunki, jakie im stworzyła władza ludowa, przygotowują się należycie.

Jarząbek ma pecha: już na 16 kilometrze złapał gumę. Widzimy właś-



Czołówka uparcie goni trzech uciekinierów. Nie da jednak rady; za kilka-naście minut trójka: Wójcik, Klabiński, Królak — wpadnie pierwsza na metę.

nie, jak pod opieką trenera Wisznickiego usuwa defekt. Ruszy zaraz dalej,

ale cenne minuty zostały bezpowrotnie stracone — czołówki już nie dogoni.



Konarek, doskonały niegdyś kolarz, prowadzi na obozie kurs teoretyczny.



Za chwilę trening. 23 uczestników obozu staje w szeregu do ранego apelu.



Svoboda, trzykrotny uczestnik Wyścigu, pomaga nowicjuszowi — Betakowi.

U ZESZŁOROCZNYCH ZWYCIĘZCÓW

Praga, w kwietniu.

Kolarze czechosłowaccy, zwycięzcy Wyścigu Pokoju w roku ubiegłym, przygotowują się starannie do występu w tegorocznym wyścigu Warszawa-Berlin-Praga. Od połowy marca przebywa na obozie treningowym w Brandysie 23 najlepszych kolarzy, a wśród nich Veselý, Krejcu, Svoboda, Malek, Veverka i in. Zawodników trenuje doskonale kiedyś kolarz J. Konarek.

Przez pierwsze dwa tygodnie przysparzała kolarzom wiele kłopotów pogoda, która w dużej mierze utrudniała wykonanie planu treningowego. Nie wpłynęło to jednak na obniżenie kondycji, gdyż zawodnicy starannie przygotowywali się w ciągu całej zimy.

Drogą eliminacji wyłoni się spośród 23 przebywających na obozie kolarzy 10 najlepszych, z których później zostanie wybrana drużyna reprezentacyjna. Ostateczne wyłonienie drużyny nastreczy zapewne wiele trudności, gdyż poziom kolarzy jest bardzo wyrównany. Zawodnicy czechosłowaccy przygotowują się do wyścigu z wielką starannością, chcąc godnie zaprezentować swoje barwy w wielkiej pokojowej imprezie międzynarodowej — V Wyścigu Pokoju.





W tym skromnym domu w Bonn, urodził się jeden z największych geniuszów ludzkości — Beethoven.

BEE

KIEDY w Paryżu lud skazał na śmierć obywatela Capeta, noszącego obmierzły tytuł „króla Francji” — przed światem otworzyła się nowa epoka. Słychać było huk walących się murów Bastylii, trzask rzuconego w pył i proch tronu burbońskiego — rozbrzmiewał groźny a zwycięski, jak pogłos bohaterskiej bitwy, okrzyk paryskiego ludu.

Tak oto kończył się wiek XVIII, który dał narodom europejskim wielką lekcję historii. Lud Paryża, burząc Bastylię, zburzył resztki złowrogich legend o boskim pochodzeniu władzy. Europa słuchała jego głosu. Mury stolic oddały echo — oto choćby w Warszawie, w kilka miesięcy po sprawiedliwie wymierzonej Ludwikowi Capetowi karze, szewc Jan Kiliński poprowadził lud warszawski do walki w obronie narodowej i społecznej wolności.

W wieku XVIII stało się jasne, że kłamstwem jest reguła boskiego pochodzenia władzy i jedyną prawdą nowych czasów musi się stać walka o ludowe pochodzenie wolności. Wiek XIX staje się więc wiekiem walki. Krew hojnie spływa po kamieniach barykad europejskich miast — walka trwa.

Wiek XIX rodzi się w ogniu artyleryjskich kanonad Armie francuskiej republiki odpierają ataki wrogów rewolucji — potem niosą trójkolorowy sztandar za Alpy. W Europie rośnie pogłos bitew — rośnie też imię konsula republiki, generała Bonaparte.

Któż słyszał głos rewolucji?

Słyszeli go wszyscy ludzie wielkiej myśli, czujnych serc i surowych sumień. Słyszeli żołnierze, myśliciele, filozofowie i poeci. Słyszeli ten głos chłopów, mieszczan i rzemieślników. Jego echo budziło trwogę monarchów, radość i nadzieję narodów.

Ale rewolucja została zdradzona. Zdradzili ją burżuazyjni paryscy, zdradził były konsul, a późniejszy uzurpator — Bonaparte.

Głos rewolucji posłyszał w Wiedniu kompozytor, Ludwik van Beethoven. — Spyta ktoś, skąd ta pewność, że w spisaniu przed 150 laty dzieła muzycznym odnaleźć można dziś jeszcze echo ówczesnej rewolucyjnej walki? Skąd pewność, że zawiłe i skomplikowane znaki, skomplikowane metody przetwarzania tematu i zawiłe modulacje chromatyczne mówią właśnie o cierpieniu i radości narodu, epoki, ludzkości?

Otóż tak. Nie ma muzyki od wszystkiego oderwanej. Muzyka powstaje w umyśle człowieka jak najbardziej żywego — człowieka, który żył w określonym kraju, w określonej epoce, który widział i pojmował bieg historii, wzruszał się życiem lub śmiercią, radował się urokiem świata, lub protestował przeciw złu.

Takim człowiekiem był Ludwik van Beethoven — człowiek, który swój czas przeżywał na miarę wielkiego serca i który dał mu wyraz godny swego geniuszu.

Mijały ostatnie lata wieku XVIII — Bonaparte był jeszcze konsulem republiki. Ludwik van Beethoven za-

Dokładna data urodzin Ludwika van Beethovena nie jest znana. Wiadomo tylko, że przyszedł na świat w Bonn i że ochrzczony został tamże 17 grudnia 1770 r. Dziadek jego, z zawodu kapelmistrz, przybył do Niemiec z Holandii (stąd holenderskie nazwisko). Ojciec Ludwika był śpiewakiem. Niestety rozpił się, co skazało rodzinę Beethovenów na nędzę. Ludwik, mając zaledwie 8 lat, produkował się już zarobkowo, jako „cudowne dziecko” grające na fortepianie. Otrzymał od ojca ogólne wykształcenie bardzo prymitywne, nabył później rozległą wiedzę, także filozoficzną, jako samouk.

W roku 1792 Beethoven przenosi się do Wiednia, którego — poza jedną podróżą po Niemczech — nie opuścił już do końca życia. Zostaje na krótko uczniem Haydna, aby w kilka lat potem zacząć zyskiwać sobie europejską sławę jako kompozytor. Niemniej boryka się nadal z trudnościami materialnymi, zdany na kapryśną łaskę mecenasów z arystokracji, którzy traktowali artystów na równi ze służbą. Jeszcze Mozart pisze w jednym z listów, jako o rzeczy naturalnej, o tym, że jada razem ze służbą arcybiskupa salzburskiego. Nawet dumny jest z tego, iż jednak siedzi przy stole wyżej od kucharza... — Dopiero Beethoven zbuntuje się przeciwko takim obyczajom. Kiedy w pewnym arystokratycznym salonie ludzie

będą rozmawiać podczas jego gry, kompozytor zerwie się, trzaśnie wiekiem od fortepianu i powie: „Dla takich świń grać nie będę!”

Wielką tragedią życiową Beethovena była głuchota, narastająca od 27 roku jego życia. Swoje ostatnie dzieła artysta komponował posługując się już tylko wewnętrznym słuchem. Po pierwszym wykonaniu IX Symfonii, 7 maja 1824 r., nie odwrócił się, aby się uklonić publiczności, gdyż nie słyszał grzmołu braw, które wstrząsały salą koncertową.

Oprócz wielu pieśni, tańców, utworów orkiestrowych i kameralnych na różne zespoły, główny trzon twórczości Beethovena stanowią: 9 symfonii, 5 koncertów fortepianowych, koncert skrzypcowy, 2 msze, opera „Fidelio”, uwertury „Coriolan” i „Egmont”, 16 kwartetów smyczkowych oraz 32 sonaty fortepianowe i 10 sonat skrzypcowych. — Olbrzymie dzieło, przepełnione wielkim uczuciem. Beethoven był „ostatnim z klasyków i pierwszym z romantyków”. Jego twórczość przerwała tamę, przez którą spłynął na Europę szeroką falą romantyzm w muzyce.

Kiedy 125 lat temu, 26 marca 1827 roku Ludwik van Beethoven umarł, za trumną jego siedl cały Wiedeń. Początkowo złożono zwłoki na jednym z mniejszych cmentarzy miasta, a w roku 1888 przeniesiono je na centralny cmentarz wiedeński. J. W.



Kiedy sto dwadzieścia pięć lat temu, dnia 26 marca 1827 roku, zmarł genialny kompozytor Ludwik van

Beethoven, za jego trumną szedł cały Wiedeń, oddając hołd twórcy wspaniałej IX Symfonii.



Po oswobodzeniu Wiednia w 1945 r. żołnierze radzieccy złożyli wieńce na grobie kompozytora niemieckiego.

BEETHOVEN 1770 1827

JERZY BROSKIEWICZ

czął pisać swą III Symfonię — swoje pierwsze prawdziwie genialne dzieło. Ukończywszy zaś ją, wpisał na karcie tytułowej imię Bonapartego: zadedykował symfonię żołnierzowi republiki.

Gdy jednak zły pamięci i woli Korsykanin sięgnął po cesarską koronę, Beethoven przedarł kartę tytułową z nazwiskiem Bonapartego.

„Beethoven był uosobieniem potęgi i siły“ — powiedział poeta Castelli.

„Wie on i może wszystko!“ — zawołał Schubert — „A my? my nie potrafimy nawet pojąć, jak wielkie dzieło stworzył ów człowiek!“

Dziś pojmujemy już, że stworzył on nowoczesną muzykę, sztukę nowych czasów, której głos brzmi, jak głos towarzysza walki, towarzysza broni, towarzysza prawdy. Tak. Słuchając sonaty zwanej „Apassionata“ Lenin zapisał te słowa: „Wspaniała, jakże bliska i ludzka muzyka. Myślę o niej z dumą, z dumą może naiwną — oto patrz, jak wspaniałe dzieła potrafi stworzyć człowiek!“

Jakim był ów człowiek?

Widzimy przed sobą jego postać: brylowatą jak Cyklop, szeroką, potężną, — z palającą, spaloną słońcem twarzą, żarzącymi się oczami, rozwichrzonymi włosami. „...A oto ów słynny głos łwa“ — mówi nam wyobraźnia Romain Rollanda.

Jakim był?

Wizerunki ówczesne powtarzają rysy twarzy surowej i twardej — stworzonej jakby dłutem rzeźbiarza. Wspomnienia i pamiętniki jego współczesnych mówią o człowieku szlachetnym i odważnym, nieszczęśliwym jak każdy samotnik, pracowitym jak każdy geniusz, zdziwczającym jak każdy samotny kaleka. Setki biografii z przerażającą monotonią powtarzają historię bardzo ciężkiego życia. Cierpienie w nim było więcej niż radości, nieszczęście więcej niż spokoju — nędza więcej niż bogactwa, a wrogów więcej niż przyjaciół.

Na koniec, w sile wieku, w pełni sił twórczych, ów geniusz muzyki poczynił głuchnąć — pomiędzy nim a światem wyrasta najstraszniejsza dla muzyka ściana: ściana ciszy! Nieszczęście i samotność nie osłodziła mu nawet rodzina, najbliżsi. Bracia odpiacili mu za dobro ztem.

A jednak nie ugiął się nigdy. Ówczesni esteci kształceni na salonowym, dworsko — bankierskim smaku twierdzili, że go dzień jest jedynie... domu obłąkanych. Przerazał ich głos nowej epoki, dudniący w dziełach Beethovena, jak echo bitwy. Drażnił ich dźwięk z chłopstwa rubaszny, rytm czasem brutalny, radość zbyt jawna i zwycięska. On zaś na przekór im i na przekór najcięższemu z wrogów — głuchocie, tworzył z każdym dniem swego życia wspaniałej i potężniejszej. Walczył ze złym losem tak, że nawet w godzinę śmierci mógł zawołać — „Nigdy nie zdołał mnie ugiąć!“

Droga owych walk wiedzie przez setki, przez tysiące taktów. Oto one: sonaty fortepianowe i skrzypcowe, muzyka kameralna, pieśni i miniatury, Missa Solemnis, opera, koncerty fortepianowe, uwertury i symfonie. Nie miejsce tu, ani pora na analizę formalną. Czym się Beethoven przysłużył technice fortepianu, czym formie sonatowego allegro, czym polifonii, czym zaś instrumentacji? Aby odpowiedzieć na takie pytania, książki było by mało. W każdej dziedzinie, której dotknął swą genialną wyobraźnią — pękały więzy starych reguł i konwencji, kruszyły się dawne formy, nikły jak świeczka przy pożarze znane i uznane zasady. Każde dzieło było milowym krokiem ku nowej epoce — było trzęsieniem ziemi dla epoki starej. Dokonywała się niezwykła i wstrząsająca rewolucja formy.

Tak oto przez historię muzyki przeszła epoka, której głos pojął i podjął genialny Niemiec. Rewolucja formy? To mało, by powiedzieć prawdę. Była to bowiem rewolucja treści — rewolucja idei. Aby zaś dopowiedzieć całą rzeczywistość prawdę do końca: oto odezwał się w muzyce głos rewolucji, głos epoki niosącej z sobą walkę ludów o wolność i sprawiedliwość.

Jaka była owa walka?

Odpowiedź dadzą wam takty beethovenowskiej muzyki. Zawarła ona w sobie natchnienie liryki miłosnej, cierpienie i tragizm marsza żałobnego z „Eroiki“, bunt Allegra Symfonii V, niepokój sonaty d-moll, patos „Apassionaty“ i „Kreutzerowskiej“, żywotność „Pastoralnej“ — porywczoność i surowość ostatnich sonat. Jakże trudna była! Były to lata, w których twierdze Europy niszczyły życia bohaterów — barykady spływały krwią — zbuntowane wsie płonęły. Z ich tragizmu rodził się tragizm setek tekstów dzieł Beethovena.

Ale nie był to człowiek, który ugiąłby się przed losem, który w najcięższych dniach zawierzyłby przecuciu kłeski. Nie wierzył w kłeskę — słyszał głos nowej epoki, potężniejszy niż wszelkie zło i cierpienie. Słuchajcie finałów III i V Symfonii. Ten wielki człowiek nie tylko wierzył — on pewny był zwycięstwa. Owe pewności zaś dał świadectwo pomnikiem w historii sztuki, pomnikiem jednym z najwspanialszych: IX Symfonią. Kończy się ona wybuchem radości, hymnem na jej cześć tak donośnym, że głuszy wspomnienie trudów, cierpienia i walki.

PIERWSZY SZKIC IX SYMFONII, RZUCONY NA PAPIER NUTOWY PRZEZ LUDWIKA VAN BEETHOVENA.



LOUIS ARAGON

Śmierć generała

Z NIEOGŁOSZONEGO JESZCZE W POLSCE V TOMU „KOMUNISTÓW”

NIE brak ludzi gotowych do walki. Całe mrowie. Ale trzeba ich dopiero powcielać do zorganizowanych jednostek. Dowódcy patrzą krytycznym okiem na te niedobitki rozproszonych oddziałów, na żołnierzy, którzy ani nie padli w walce, ani nie zostali wzięci do niewoli. Ruchy armii są już straszliwie utrudnione przez wędrującą szosami ludność. Trzeba by zamknąć granicę belgijską. ...A ci żołnierze, których trzeba ugrupować, posprawdzać i postawić na nogi, to również balast dla oddziałów: konieczność walki wzywa je do szybkich ruchów, do przenoszenia się bezustannie na zagrożone punkty...

W lesie Raismes, gdzie próbowano przegrupować resztki dawnych oddziałów, zaczyna się zaniedbywać tę robotę na rzecz uzupełniania linii frontu po odejściu Anglików. Gdyby nie warczenie samolotów i rzucane od czasu do czasu na las bomby, oddział dawnej Dywizji Piechoty Północno - Afrykańskiej żyłby tu sobie w owych dniach jak w garnizonie, i to dość opuszczonym. Oficerowie rozjeżdżają do sąsiednich sztabów. Działa nie stoją na pozycjach. Żołnierze biją dziczące bydło pochwycone gdzieś w okolicy: ćwiartują je, zapalają ogniska, nad którymi obracają kawały mięsa na improwizowanych rożnach.

Jean Blaise i ksiądz zawarli przyjaźń. W pierwszej chwili podniecenie, jakie okazywał ksiądz przy opowiadaniu o wysadzanych przez siebie obiektach, wzbudziło ciekawość Marcadiera, nie sympatię. Potem prowadząc z nim rozmowy przekonał się, że ksiądz Blomet odgrywał bardziej przed sobą niż przed innymi wielką komedię, by pogodzić się z życiem, od którego wszystko, jego wykształcenie i przekonania, musiało go odpychać. Ksiądz robił cały ten hałas, by zagłuszyć samego siebie. Bał się swej własnej litości, bał się, że pójdzie za głosem serca. Robił wiele szumu, jak gdyby chciał powiedzieć: „Patrzcie, jaki jestem! Nic dziwnego, że to znoszę, patrzcie, czuję się, jak ryba w wodzie”. Prawdziwy ksiądz Blomet, ten, który nie jest saperem... pokazywał swoją prawdziwą twarz w obcowaniu z Jean Blomet: być może myśl, że sierżant Marcadier jest artystą, ułatwiała księdzu sprawę, ponieważ dla tego gatunku księdza, rzeźbiarza to ktoś tak różny od innych ludzi, że można by mu się nawet wyspowiadać.

Mimo wszystko Jean Blaise nie zadowolili się domysłami, pyta: „Właściwie, księżo, dlaczego robi ksiądz z siebie takiego zabijakę? Dlaczego przybiera ksiądz taką pozę?” Tamten zdjął okulary, może po to, żeby je wytrzeć, a może, by spojrzeć na niebo gołym okiem: patrzcie, ma niebieskie oczy.

„Są chwile, sierżancie, kiedy chciałbym zapomnieć... o tym co widziałem... o rzeczach zbyt strasznych dla mnie: próbuję, zagłuszam własne myśli, robię z siebie błazna, rozumie pan!”

Tak, właśnie tak, szukał sobie spowiednika. Mógł nim być rzeźbiarz. Opowiedział mu popołudnie 16 maja.

Było to w poprzedni czwartek. Ksiądz znajdował się ze swoją grupą na równinie belgijskiej, w odległości — ileż to mogło być? — Osiem kilometrów na południe od Charleroi, w każdym razie już całkiem na wsi, w polu, niedaleko od szosy wiodącej z północy na południe w kierunku Philippeville, na zachód od tej szosy, tuż poniżej drogi, która odgałęzia się na Nallines. Jest tam kilka domów, nazywa się to Bultia... stoi tam posterunek Korpusu... Stanowiliśmy II Korpus... Mieliliśmy kwaterę w wielkim domu, wielkim — to może przesada! Wyglądał tak, ponieważ stał samotny na brzegu drogi, o dwieście metrów od osady, w kierunku Nallines. Kilka drzew owocowych, szosa brukowana tą drobną belgijską kostką. Kraj płaski jak dłoń. Kilka kęp drzew bardziej na południe. Kompania opuściła nas tego ranka po ciężkim bombardowaniu. Miała zakwaterować się o pięć kilometrów stąd, w Nallines. Pozostawiliśmy w dyspozycji Korpusu. Dywizja stała na przedmieściach Charleroi. Ruch panował tu znaczny, przejeżdżały motocykle wiozące wiadomości do kwatery Bouffeta, Bouffet był dowódcą Korpusu. A przy tym dokoła działa przeciwlotnicze, działa, hałas jak w hali maszyn. Poło-



Louis Aragon, wybitny francuski poeta i powieściopisarz, ukończył pierwszą serię cyklu „Komuniści”. Powieść ta stanowić będzie obraz społeczeństwa francuskiego w okresie od roku 1939 do lat powojennych. Głównym bohaterem powieści jest francuska klasa robotnicza i jej partia. Akcja fragmentów, których druk rozpoczynamy, toczy się w okresie najazdu hitlerowskiego na Belgię i Francję. Kiedy na polach bitew lud broni swej ojczyzny, reakcyjne rządy przygotowują kapitulację. Ich jedyną troską jest walka z obozem francuskiej demokracji.

zenie było złe, można się było spodziewać, że nieprzyjacieli wyłoni się z każdej strony. Co działo się na północy? Krążyły pogłoski o przenikaniu nieprzyjacielskich oddziałów aż pod Charleroi... W ciągu tych trzech dni opuściliśmy po walkach teren od Mozy, most Yvoir, Bioul, Saint-Gerard, Devant-les-Bois, Mettet, Gougnies... wysadzając w powietrze... ale nie będę o tym wspominać! Opuściliśmy rejon Mozy ostatni, pan rozumie, ostatni: wszyscy wycofali się już na południe, wiedzieliśmy o tym. Wiedzieliśmy jak ostatnia nasza nadzieja, dywizja kirasjerów, poszła w drzazgi. Na południu sygnalizowano czołgi, Philippeville było wzięte, mówiono i o Beaumont... czy można było w to wierzyć?

W niejakiej odległości od szosy stały nasze samochody ustawione wzdłuż zabudowań niedużej fermi, na podwórzu. O dwieście metrów, nawet niespełna, widać było wysoki dom przy szosie, gdzie generałowie i pułkownicy rozprawiali o naszym życiu i śmierci, o ocaleniu honoru i wyborze drogi. Z piwnicy... Trzeba panu wiedzieć, że kraj był opustoszały, wszyscy cywile belgijscy uciekli, kazano im nawiewać. Ale fermer, właściciel domu w którym staliśmy, wysoki chłop o jasnych włosach i grubo ciosanej głowie, odmówił wyjazdu. Miał troje dzieci, najstarsze dziewięcioletnie. Niedawno stracił żonę. Nie chciał włączyć ze sobą dzieci po szosach. Został... Z piwnicy wołał do nas, żebyśmy wyjeżdżali, żebyśmy sobie poszli precz z jego domu, że zbombardują mu fermę. Nienawidził nas. Mówił, pokazując

na działa stojące wokół kwatery generała Bouffeta: „Gdybym był wiedział!” Ale było za późno teraz, żeby ryzykować. Wszędzie na niebie krążyły samoloty, bombardowano ze wszystkich stron. Dochodził huk dział. Prawdziwe piekło. Walki czołgów musiały odbywać się niedaleko. Mężczyzna wchodził na powrót do piwnicy, gdzie napotykał pytające spojrzenia swoich dzieci. Tam rzeczywiście uwierzyłem w koniec świata. Wracaliśmy z zadania... skład amunicji. Przeszedłem przez pola położone na południe, samochody, konie, czołgi wyglądały jak po rzezi. Podobno po przejściu szpicy czołgów niemieckich, grupie naszej dywizji udało się oczyścić nieco przestrzeni wokół sztabu Korpusu.

W sztabie tym było trzydziestu oficerów i jeden kapelan, bardzo świątobliwy i czcigodny człowiek, który wypowiadał mnie właśnie w wilię wkroczenia do Belgii. Widziałem na szosie jego sutannę, wdziewał ją rozpiętą na aksamitne spodnie, nosił wysokie buty i wielki krzyż na piersiach, na głowie miał kask. Poszedłem go odwiedzić. Przyjął mnie smutny. Wiadomości były złe. Oczekiwano generała Bouffeta, który pojechał wczesnym popołudniem do Couillet, obok Charleroi, by odwiedzić naszego generała dywizji, Bouchera. Przyszły wieści o wybitciu rano naszego oddziału piechoty w Bois-l'Abbe, w pobliżu Saint-Gerard. Mieliliśmy się cofać w kierunku Francji, na Avesnes...

Ten święty człowiek zapytał mnie, czy nie zechciałbym się ponownie wypowiadać. Okoliczności były najbardziej niesprzyjające i — niech mi Pan Bóg wybaczy — obruszyłem się gniewnie na jego słowa. „Mój bracie, powiedz mi, od czasu kiedy cię widziałem, brałeś udział w dziełach zniszczenia... jesteśmy małym prochem i Bóg może nas wezwać do siebie...” Nie wybaczę sobie pewnie nigdy odpowiedzi, której dotąd jeszcze nie mogę pojąć: „Czy Bóg mógłby dziś poczytywać nam za grzech wykroczenie przeciw piątemu przykazaniu?” — odpowiedziałem mu z niejakim uniesieniem. — „Nasza odpowiedzialność jest znikoma, wie to ten, który ponosi jej ciężar”. Mimo nieprawowierności tego zdania, uczynił gest błogosławieństwa nade mną i powrócił do sztabu, pod który podjechało auto generała Bouffeta. Widzę jeszcze ożywiony ruch panujący wokół fermy... oficerowie stawali na baczność... Wróciłem do fermy. Zaledwie wszedłem do domu, usłyszeliśmy samoloty.

Nie wiem jakie szaleństwo przyświecało w wyborze na kwaterę tego domu stojącego na uboczu, o dwa kroki od rozdroża, ale kiedy zobaczyłem, że samoloty nieprzyjacielskie zniżają się z nieba, wlatując pod górę i powracając, kiedy od pierwszej chwili zrozumiałem, że znają swój cel, ogarnęło mnie uczucie przerażenia. Nie dlatego, że życie oficerów było dla mnie cenniejsze, niż żołnierzy, ale kiedy na statku zabity zostanie sternik... Już wówczas widzieliśmy bowiem, jak na podminowanym przez nas moście wyleciał w powietrze pułkownik jednego z naszych pułków — już wówczas nie mogłem się oprzeć poczuciu odpowiedzialności za śmierć dowódców. Być może działo tu również wspomnienie klasyków, tragedii, gdzie niepokój krąży wokół przeznaczenia cesarza, nie wiem sam! Sztab w Bultia został kompletnie zniszczony. Z domu został tylko dymiący kadłub, obok ciała... nic prawie nie odnaleziono... cały sztab główny..., to są też ludzie, sierżancie! I godni współczucia... stworzenia Boże! Generał Bouffet, co najmniej trzydziestu oficerów, czterdziestu podoficerów i żołnierzy... Ferma, gdzie ukryliśmy się przerażeni w piwnicy, z mężczyzną, który przeklinał Francję i z dziećmi o rozszerzonych oczach, drżała pod nami, jak na Sądzie Ostatecznym. Kiedy już można było wyjść, co za widok! I te śmieszne małe działka rozrzucone wokół płonącego domu... Szukałem sutanny, nie odnalazłem jej pod gruzami, skąd wyciągnięto niewielu rannych... ale pod belkami i kamieniami było to...

Ksiądz wyciągnął zza pazuchy krzyż z posiniałej stali oprawiony w drzewo. Zamknął na chwilę. Potem, patrząc nań, podjął znów swą opowieść. Idąc do fermy spoglądał tak na krzyż trzymany w ręce, kiedy z bocznej polnej drogi prowadzącej wprost do

budynku, wyłonił się samochód i zatrzymał w pobliżu. Wyskoczył z niego żołnierz i otworzył drzwiczki mężczyźnie wysokiemu, suchemu, z twarzą nieco różową, mężczyźnie, którego ksiądz Blomet dobrze znał. Był to generał... Ba, ale poco panu mówić jego nazwisko, sierżancie, ze względu na to co nastąpi dalej? Dla nas był to właściwy generał, ten, którego nazywaliśmy naszym generałem. Pamiętam go jeszcze z owego dnia, kiedy staliśmy za Mozą, kiedy myśleliśmy, że jesteśmy na najlepszej drodze do zdobycia Europy. Tego dnia wracał on do Bultia, by zdać sprawę naszemu dowódcy, generałowi Bouffet, z sytuacji panującej na powierzonym odcinku. Przejedźzałem przez jego odcinek jeszcze tego ranka, by wykonać zadanie o którym panu mówiłem. Wiedziałem o masakrze czołgów generała Bruneau jaka odbyła się poprzedniego dnia i trwała przez całą noc na południe od Mettet... Jatkł te trwały bezustannie cały następny dzień w okolicach Beaumont. Oddziały naszej dywizji, odsłonięte nagle na skutek rozbicia dywizji pancerniej, nie miały teraz żadnej łączności z II Korpusem na południu. Generał pozostał wraz z oddziałami, prowadząc w miarę możliwości akcję opóźniającą. Wydał właśnie rozkaz rozbitym jednostkom, odciętym od swoich tyłów, by zniszczyły samochody, wysadziły działa i nawładzywały łączność indywidualnie. Była to klęska. Stąd, gdzie staliśmy, widać było pożary w laskach odległych o niespełna dwa kilometry. Składy benzyny. Amunicja. Generał przybywał do Bultia pełen jeszcze obrazów zniszczenia dokonanego na jego rozkaz. Byłem pierwszym żołnierzem jakiego spotkał. Zapytał mnie, czy Korpus stoi tu jeszcze ciągle i w jakim domu. Z trudem zdołałem coś odpowiedzieć: pokazałem mu płomienie i dym.

Powiedział do mnie: „A generał Bouffet? Jego sztab?”

Wysłuchał mego opowiadania, pokazałem mu ten krzyż. Kiedy pojął rozległość nieszczęścia, a wyobraził pan sobie, co to dla niego było, co to znaczyło dla niego po niedawnych wydarzeniach, po rozwiązaniu swoich oddziałów, spaleniu samochodów, zniszczeniu karabinów maszynowych, wysadzeniu dział... powiedział do mnie: „Wydaje mi się, że was rozpoznałem, saperze... czy nie widziałem was nocą, kiedy wysadzaliście za Mozą linie obronne Marche'a? A potem Pont d'Yvoir... Jesteście podobno księdzem”... To, że mnie sobie przypomniał z taką dokładnością, przypawiło mnie o nagłą suchość w gardle. Przytaknąłem, a on powiedział mi tonem jakoś okrutnie obojętnym: „Skoro nie mam nic do roboty w Bultia, wejdźmy do tego domu, chciałem z wami pomówić...” Kiedy znaleźliśmy się w środku, w kuchni fermy, spojrzałem w jego oczy, wstrząsnął mną ich wyraz. Przyszła mi do głowy myśl, że chce ze mną mówić jak z księdzem i ręka moja zacisnęła się na stalowym krzyżu, ponieważ przypomniałem sobie odpowiedź, jaką dałem temu, którego już nie było, i czułem się niegodny do wysłuchania spowiedzi: „Panie generale...” Przeciął mi w pół słowa. Powiedział: „Księżu, nie chcę pana wprowadzić w błąd... ja nie wierzę... być może jest coś takiego, jakiś Bóg, ale... jednym słowem, nigdy w życiu nie ukląknę przed żadnym człowiekiem i w czasie katastrofy zachowałem dość przytomności umysłu, by tego nie robić dzisiaj... Jeśli pana potrzebuję, to jako świadka jedynie, jako świadka godnego zaufania...” Usiadł przed wygaszonym kominem i zamilkł. Nie śmiałem przerywać jego rozmyślań. W drzwiach panicy ukazał się właściciel domu, być może po to, by sprawdzić, czy go nie grabią. Generał powiedział: „Zostaw nas, przyjacielu...” takim tonem, że właścicielowi domu wydało się to naturalne i szedł z dziećmi do piwnicy.

„Nie wierzę w Boga — powiedział generał. — Gdybym miał to szczęście, że rzecz przedstawiałaby się inaczej, przypuszczam, że nie potrzebowałbym księdza. Sprawa byłaby załatwiona. Ale niech ksiądz przypuści, że w momencie rozbicia statku, w tej samej chwili kiedy można się jeszcze uratować — jakaś tratwa, czy ja wiem? deska może — nagle rozdziela się niebo i wszystko, co było podstawą naszego istnienia, naszym Bogiem na przykład, wydaje się nam piekielnym szyderstwem. Ja nie bluźnię, księżu, ponieważ nie wierzę. Pytam więc księdza w tej chwili, kiedy to zależy od księdza jedynie, pytam w

obecności tego pustego świata i opustoszałego nieba, odpowiedz mi, dla jakiego niewyobrażalnego powodu pochwyliłbyś tę pływającą deskę, miast pozwolić się raczej ściągnąć na dno?”

Nie wiedziałem co mam mu odpowiedzieć. Za domem słychać było niezbyt odległe wybuchy. Gdybym nie wierzył w Boga... czy też nie był to typowy przykład fałszywie postawionego problemu? Ponieważ wierzyłem. Próbowałem mu to powiedzieć, przerwał mi: „Niech ksiądz nie rezonuje, to poważna sprawa...” Musiałem więc myśleć o rzeczy nie do pomyślenia, o rzeczy niemożliwej. Jakież byłby cel mego życia, gdybym nie wierzył w Boga? Oczywiście żaden, i żadnego nie miałbym powodu, by wzbraniać się przed śmiercią, tylko, że to nie miało by sensu... Zaskoczył mnie, a prawdą jest, że nigdy nie rozumiałem, jak może żyć ateusz nie mając uciecz-

skich pozycji. Nie opierali się, kiedy ich szarpano, nie mówili nic. Byli to, zdaje się, Francuzi. Wokół grupy zbierali się żołnierze. Kiedy zawleczono dalej szpiegów, rozmowy potoczyły się znów w najlepsze. Ksiądz jakby nic nie zauważył, tkwił wciąż w swym opowiadaniu. Jean Blaise wziął go za ramię i począł iść z nim razem, aż znaleźli się w bardziej zaciszyn miejscu.

„Ksiądz nie skończył swej historii...”

Tamten upadł na ziemię. Tak... rzeczywiście... więc cóż! Zakopał oczywiście generała. Zakopał go. Nie mógł umieścić krzyża na grobie samobójcy. Jednak kiedy odrzucił ziemię, zanim ciało zostało całkiem przykryte, nie mógł się powstrzymać...

„Nie, nie mogłem się powstrzymać i niech Bóg mnie sam osądzi! Pobłogosławiłem grób... Nic już nie zmieni tego nigdy, że go pobłogosławiłem!” Potem spojrzał na Jean Blaise i wyszeptał: „Pan także nie wierzy w Boga? Zastanawiam się, jak pan może żyć... pośród tego wszystkiego...”

„Czy to jest pytanie? — powiedział Jean Blaise. Ponieważ ja dobrze rozumiałem pańskiego generała, on żądał od księdza czegoś, co dla księdza było nie do pomyślenia... a ksiądz mnie o co pyta?... Dla tego generała wraz z rozbiciem się wszystkiego, co stanowiło jego wiarę, wraz z utratą honoru, armii... wszystko znikło. Ale czyż nie uzależnił on swego honoru, swego ideału, jedynie od zwycięstwa, od powodzenia? Widzi ksiądz, ja też mam mojego generała. Jest to chłopiec w moim wieku, urzędnik bankowy. Otóż, wobec niego, pański generał, księżu, jest zwykłym smarkaczem. Smarkaczem! Oczywiście, mój generał w coś wierzy... ale nie w Boga... Jednak nie wyobrażam sobie by nie pochwylił on deski, widzi ksiądz... ponieważ jego honor polega na tym, by nigdy nie zatonać, nigdy!”

Ksiądz zdumiał się. Uczyniła się cisza, na jaką tylko mogły pozwolić przelatujące samoloty. A saper Bernard Blomet powiedział: „Jednak powinien wierzyć w Boga...”

„Oto jaki ksiądz jest! I ksiądz nie rozumie, że słysząc podobne słowa facet taki jak ja, musi się dobrze wziąć w ryzy — i jak jeszcze! — żeby nie zostać antyklerykałem!”

Przechodzące nocą oddziały postawiły na nogi ludzi na przednich pozycjach lasu Raimes. Artylerzyści wyruszyli niespodzianie, ale nie zabrali ze sobą żuawów. Nadszedł rozkaz, by zebrać wszystkich pojedynczych piechurów i skierować ich do punktu zbiorczego, gdzie mieli się stawić o świcie w rejonie Orchies. W ten sposób Jean Blaise i jego towarzysze stali się znów żołnierzami w poszukiwaniu jednostki. Ksiądz Blomet zaś został wysłany wraz z konwojem odjeżdżającym w przeciwnym kierunku. Jean Blaise nie był zadowolony z ostatniej rozmowy. Chciał powiedzieć księdzu na temat jego generała dwie, czy trzy rzeczy, które nie przyszły mu od razu do głowy.

Na przykład rzeczy dotyczące Francji. Innych ludzi. Prawa stanowienia o sobie. Chciałem mu powiedzieć o Francois Lebecq'u i podobnych do niego. Nigdy nie przychodził mi w porę odpowiednia myśl. Jedno jest pewne, że na przykład co do samobójstwa, w zasadzie... jesteśmy, z innymi co prawda powodów, bliżsi ich punktowi widzenia, niż by się zdawało... Z zupełnie innych powodów, Jean Blaise mówił: jesteśmy. Bo nic już nie mogło go rozdzielić z Francois Lebecq'em. I ksiądz Blomet pomógł mu to zrozumieć...

Na punkt zborny, znajdujący się nieco na południe od Orchies, w lesie — miejsce nazywało się Trzy Dziewice, trudno zapamiętać taką nazwę — grupa złożona z około pięćdziesięciu ludzi przybyła około siódmej rano; nie było nikogo. Widniały tam jeszcze ślady niedawnego kwaterunku, ale jednostka, która tu stała, odeszła. Tak, byli znów sami. Najpierw trzeba coś zjeść. Kilku miało broń: rozbiegli się po lesie, rozległy się strzały. Trzeba nie mało ptactwa, by nakarmić pięćdziesięciu ludzi! Gdyby się udało upolować zajace!

Orchies... co to za miasto, duże? Nazwa Orchies była jedyną, jaką znali w okolicy. Postanowili pójść do Orchies.



Rys. L. Buczkowski

ki w Bogu... Ale co zrobić, by pojął absurdalność postawionego mi pytania? „Generale, może zrozumie pan, jak niemożliwy do wyobrażenia jest dla mnie ten problem, jeśli pan pomyśli o tym w co pan wierzy. Jeśli nie w Boga, to przynajmniej we Francję, przynajmniej w honor, w pańskie powołanie, pański sztandar...” Spojrzał na mnie i zaczął się śmiać: „Otóż właśnie” — powiedział. I dorzucił: „Powiedziałem księdzu, że szukam świadka...” Na jego twarzy widać było przerażające pomieszanie godności graniczącej z pogardą i opanowanego z trudem bólu, jakiś wyraz cierpienia gotowego wybuchnąć lada chwila, co sprawiało, że był czerwieniony niż kiedykolwiek. Nie rozumiałem jego gestu, obrócił się nieco, jakby zdjęty wstydem. Podniósł rękę do głowy. Usłyszałem wystrzał i ujrzałem, że pada na ziemię. Zdawało mi się, że to pomyłka, zawołałem: „Generale!” Wyglądał strasznie, ponieważ... Och, nie potrzeba panu szczegółów. Wybiegłem z domu jak szalony. Pan wie, sierżancie, jaki jest pogląd kościoła na samobójstwo. Okazało się, że po bombardowaniu załoga i pozostali przy życiu ludzie ze sztabu zbrali manatki i wycofali się już z Bultia do Nallines. Samoloty powróciły i wszystko wokół drżało pod powtórny gradem bomb. Było takie zamieszanie...

Ksiądz wstał — siedzieli w rowie wysłanym liśćmi — chodził między drzewami, zdawało się, że nie może znieść ciężaru tych wspomnień. Droga, w stronę Jean Blaise i księdza, prowadzili artylerzyści dwu starannie skrzepowanych cywilów; popchnęli ich ku nim. Ludzi tych zaskoczono przy wytyczaniu na-



Wiosna



nasi fotokorespondenci donoszą

ZŁOTO CERAMICZNE WYGLĄDA JAK JODYNA



Arcydziela naszej ceramiki, zdobione przez Leokadię Kowalewską kobaltom i złotem, docierają do najdalszych krajów. Odznaczają się one smakiem artystycznym i precyzją wykonania.

Wałbrzych jest największym ośrodkiem przemysłu ceramicznego w Polsce. Z fabryki porcelany „Krzysztof” ręcznie malowane serwisy wędrują na cały świat, zdobywając nagrody i wyróżnienia na międzynarodowych wystawach.

Najpiękniejszą ozdobą każdej dobrej porcelany jest kobalt, purpura i złoto. Złoto ceramiczne to płyn, który wygląda niepozornie jak jodyna, a zawiera wiele czystego złota dukatowego, jest więc drogie i nic dziwnego, że od dawien dawna używa się go z wielką oszczędnością. Do Polski złoto ceramiczne sprowadza się z zagranicy i nasi malarze dokładają wszelkich starań, aby tak cennej farby na próżno nie marnować.

W fabryce „Krzysztof” najlepiej pra-

cuja córki górników - reemigrantów z Francji, Belgii i Westfalii. Dwa razy szybciej niż inne pracownice, piękne wzory dekoracyjne maluje tu Cecylia Selak, wielokrotna przodownica pracy. Urodziła się w Bruay-en-Artois, dokąd ojciec jej w poszukiwaniu pracy wyemigrował z Bochmi.

Równie utalentowana jest Leokadia Kowalewska, córka górnik-reemigranta z Belgii, jeszcze niedawno celująca uczennica gimnazjum ceramicznego w Szczawnie-Zdroju, dziś jedna z przodujących malarek „Krzysztofa”. Jej serwisy, malowane zaoszczędzonym złotem, zdobyły sobie powszechne uznanie. Walczy ona z pasją o prymat w akcji kompleksowego oszczędzania.

Wszystkie rekordy w tej dziedzinie pobił jednak Franciszek Suchanek: do udekorowania porcelany, przeznaczonej na wystawy w Mediolanie, Paryżu i Helsinkach, otrzymał on 2184 gramy złota ceramicznego, a zużył przy pracy tylko 1356 gramów.

Armia korabielników w przemyśle ceramicznym to wielka siła; w roku ubiegłym korabielnicy zaoszczędzili kilka milionów złotych, obniżając w ten sposób własne koszty produkcji. Wpływa to na obniżkę cen porcelany na rynku, a dzięki temu porcelana przestała być przedmiotem zbytku.

Marian Stemar, Wałbrzych



Franciszek Suchanek jest rekordzistą w oszczędzaniu kompleksowym. Na nim to właśnie wzorują się wszyscy malarze w Zakładach Porcelany Stołowej „Krzysztof”.

POCHWAŁA JARSKICH POTRAW

Katowickie Zakłady Gastronomiczne zorganizowały wystawę potraw jarskich przyrządzając 122 dania z ziemniaków, kaszy, grochu, fasoli i innych jarzyn.

Na wystawę tę zawędrowały również potrawy z dorsza i drobiu.



Takich galaretek spożywano na wystawie 1600 dziennie. „Pod mocniejszą z kropelkami?” — zapytałby bohater Wiecha, Piekuszcza. Nie, ta butelka zawiera tylko ocet.

Pierwszą nagrodę uzyskał kucharz „Polonii” katowickiej, Misztal, za pyzy z farszem grzybowo-jarzynowym, a drugą — kucharz Kasperek ze „Śląskiej” za sznyceł górski z kaszy (podawany z kapustą), kapuśniaczki małopolskie i paszteciki z drobiu.

Znaczna część potraw sporządzonych na wystawie wejdzie do jadłospisów restauracyjnych, a te spośród nich, które są najzdrowsze i najsmaczniejsze, a w przyrządzaniu proste, spopularyzowane będą za pośrednictwem prasy. Zwraca uwagę wysoka kaloryczność tych potraw, a jednocześnie ich niska cena restauracyjna. Na przykład wyborne kotlety z grochu i fasoli, zawierają 600 kalorii, a kosztują 3.85 zł, porcja pyzów z farszem grzybowo-jarzynowym kosztuje 1.45 zł., sznyceł górski z kaszy 2.75 zł.

O popularności wystawy świadczy to, że zwiędzało ją 15 tysięcy osób dziennie.

Zygmunt Sztaba, Katowice

MIĄŁ WĘGLOWY W KOTŁACH BENSONOWSKICH

Elektrownia „Victoria” należy do najnowocześniejszych. Przed 15 laty zbudowano tu bunkry-zasypniki, z których przy pomocy taśmy pobierało się węgiel do kotłów Bensona. Zdawało się, że system ten tworzy idealne warunki dla stosowania mieszanek z miąłem węglowym, ale wszelkie próby tego rodzaju kończyły się niepowodzeniem. Taśma łatwo zabierała węgiel gatunkowy, pod miąłem zaś ślizgała się bezsilnie.

Wokół wszystkich kopalń śląskich od dziesiątków lat rosły wielkie hałdy tego miąłu, który przy spalaniu odznaczał się dużą wydajnością ciepła; a jednak tej jego właściwości nie dawało się zużytkować w przemyśle. Palacze nie dawali wszakże za wygraną; postanowili ponowić próbę, ale przed powzięciem zbiorowego zobowiązania udali się do inżyniera Kwaśnickiego. „Pomóżcie, inżynierze — zaapelowali do niego — chcemy palić miąłem, ale nie idzie...”

Dusząc się pyłem węglowym, dwa dni siedział inżynier Kwaśnicki w jednym z bunkrów, aż wymyślił bardzo proste urządzenie: zaopatrzył mianowicie taśmę w specjalne zgarniacze i odtąd miął bez oporu zjeżdża z taśm do paleniska. Daje to gospodarce narodowej pół miliona złotych oszczędności rocznie, a nadto...

Palacz Fulbiszewski, ciesząc się z nowego usprawnienia w naszych elektrowniach, powiedział: — Więcej węgla zostanie dla ludzi. Do końca roku zużyjemy 40.000 ton miąłu, który zastąpi taką ilość węgla, jaką przez 10 dni musiałyby wydobywać 5000 górników. Węgiel ten pójdzie na inne cele.

Dlatego właśnie palacze „Victorii” podjęli swe zobowiązania. Ich śladem pójdą niewątpliwie palacze z innych elektrowni.

Stefan Utzig, Wałbrzych



Palacze elektrowni „Victoria” nie byli początkowo pewni, czy zgarniacze inż. Kwaśnickiego zdadzą egzamin. Jednak nie zawiodły. Wystarczy spojrzeć na taśmę transportową, aby widzieć, jak miął wędruje do kotłów Bensona.

Tymi trzema korespondencjami otwieramy nowy dział, w którym zamieszczacie będziemy wiadomości z miast i wsi całego kraju. Tematyka tego działu jest w zasadzie nieograniczona, wymaga jednak nie tylko dobrego, trafnego tekstu, ale i fotografii. Stwarza to dodatkową trudność, łatwą wszakże do przezwyciężenia: przy każdym większym zakładzie pracy istnieją przecież kółka fotoamatorów, w każdym środowisku znajdują się miłośnicy fotografii i od nich to otrzymać można wiele cennego materiału.

Czytelnicy i Sympatycy naszego pisma, zasilać nas swymi korespondencjami! Pamiętajcie tylko o tym, że tekst musi być zwięzły, że powinien zawierać konkretną treść i że zdjęcia (nie mniejsze niż pocztówka), powinny nadawać się do reprodukcji. Umieszczone fotokorespondencje honorowane będą według obowiązujących norm.

Listy ze zdjęciami i tekstem nadsyłać należy do działu korespondentów naszego pisma: Warszawa, ul. Nowy Świat nr 58.

Nie zapomnijcie tylko podać swego adresu!

PODRÓŻE I INTERESY GENERAŁA GROW

Blizsza lektura pamiętnika ujawnia dalsze interesujące fakty:

„Piątek, 19 stycznia.

Przyszeli Pope. Upiera się przy tym, że widzieliśmy nie wszystkie pozycje. Zupełnie słusznie, ale odkryliśmy cztery, których on jeszcze nie widział“.

„Środa, 14 marca.

Przyszeli Pope, prowadziliśmy długą rozmowę na temat przypuszczalnych sil ZSRR“.

„Środa, 21 marca.

Przyszeli Pope... udzielił nam informacji o pozycjach A.A.*) w Lenin-gradzie i potwierdził nasze tutejsze obserwacje. Po obiedzie naszkicowałem raport dotyczący zakładu przemysłowego, który obserwujemy już od sześciu miesięcy“.

Kim jest Pope? Grow wspomina jedynie, iż jest Anglikiem. Tak więc dowiadujemy się z pamiętnika, że brytyjski przedstawiciel w Moskwie nie uważa wcale za rzecz poniżającą szpiclowanie dla generała amerykańskiego wywiadu i przekazywanie mu swoich obserwacji.

Liczne dalsze notatki dowodzą, że dyplomaci brytyjscy w Moskwie pomagają amerykańskiemu podżegaczom wojennym.

Jak wskazuje dalsza notatka, kanadyjski dyplomata w Moskwie, pułkownik Guimond jest również posłusznym lokajem Growa.

„2 marca.

Odebrałem raport majora Busha i pułkownika Guimonda (Kanadyjczyk) o ich podróży do Tbilisi. Nie stwierdzili żadnej specjalnej działalności militarnej“.

Grow wspomina także o greckim dyplomacie Sgourdeous.

„Piątek, 26 stycznia.

Greki, Sgourdeous, również liczy na to, że dojdzie do decydującego starcia. Jest jednym z nielicznych, bojowo nastrojonych Europejczyków“.

15 marca następna notatka o Sgourdeousie:

„Przyjemna rozmowa przy kolacji z Sgourdeousem. Tak samo jak ja, oburzony jest naszym brakiem decyzji. Obaj uważamy, że gdy będziemy brutalni i narzucimy nasze kierownictwo, zachodni Europejczycy pociągną za nami“.

W zapiskach znajdujemy dalsze nazwiska członków ambasad innych krajów, pomocników amerykańskiego generała. W związku ze swoimi szpiegowskimi kontaktami z tureckim attache wojskowym i morskim, Grow określa tureckiego attache morskiego Kir Oglu jako „porządnego chłopca, marzącego o współpracy z nami“. Notatka z dnia 9 marca brzmi:

„Wysłałem raport o obserwacjach przekazanych nam przez tureckiego attache“.

Turcy, tak jak i Grecy, dostawcy mięsa armatniego dla Amerykanów w Korei, starają się wszelkimi siłami dorównać brytyjskim dyplomatom w zbieraniu informacji dla amerykańskiego wywiadu.

Przytoczone tu wyjątki wystarczają, by przekonać się, jak generał Grow i jego koledzy z innych ambasad spędzają czas w Moskwie.

16 kwietnia Grow notuje w swoim pamiętniku:

„Muzeum Tolstoja było dziś zamknięte (poniedziałek), co nas nie zmartwiło, ponieważ nie po to udaliśmy się tam, aby je zwiedzić“.

Cóż więc interesuje Growa w czasie podróży do Jasnej Polany? W jakim celu amerykański attache wojskowy udaje się w piękny wiosenny poranek do miejscowości, którą wślawił nieśmiertelny Lew Tolstoj? Na pytania te znajdujemy odpowiedź w dalszych zapiskach:

„Zanotowałem wiele numerów pojazdów wojskowych. Widziałem kilka stanowisk A.A.“.

Oto plan wycieczki generała Grow do siedziby największego pisarza ostatniego stulecia.

*) Anti Aircraft — obrona przeciwlotnicza.

Gen. Grow wśród zagranicznych attache wojskowych podczas pobytu w Moskwie



Z dalszych kartek pamiętników dowiadujemy się o motywach jego podróży do Pskowa, Orla, Włodzimierza, Muromu i wielu innych miejscowości. Równocześnie agenci i koledzy Growa „zwiedzają“ Homel, Orszę, Saratów, Stalingrad, Astrachan i inne miejscowości i składają mu sprawozdania ze swoich obserwacji.

W maju 1951 r. Grow jedzie do Muromu. Zwrócił jego uwagę szybki rozwój tej miejscowości. Grow nie może jednak ukryć rozczarowania, pisząc 11 maja:

„Żadnych obiektów wojskowych“.

Samo miasto nie interesuje go. Szuka bowiem jedynie mostów i dróg, które mogłyby nanieść na swoją mapę, aby zniszczyć je w przyszłości. Szuka więc gorączkowo, aż wreszcie znajduje:

on near bank. Only bridge in R.R. is good target.

„Jedyny most tutejszy, to most kolejowy. Dobry cel“.

Następnego dnia jest już w Szaturze, gdzie notuje:

Big power plant at Shatura run on peat. Good target. Bridge in vicinity. Good target.

„Wielka elektrownia w Szaturze o napędzie torfowym. Duże złoża w pobliżu. Dobry cel“.

Przejeżdżając przez Rostów 23 maja 1951 r. Grow zapisuje:

„Rostów to piękne miasto, wysoko położone na północno-zachodnim brzegu Donu“.

Spokojne wody Donu, piękne miasto („najpiękniejsze miasto rosyjskie, jakie kiedykolwiek widziałem“) pasjonują go jedynie przez kilka minut. Zaraz potem notuje z satysfakcją:

long time but no work going on. The bridge here is best target in S. Russia. This, together with bridge over Kuban R. at Kawkazskaya, would cut off all the Caucasus except for poor lines to Astrakhan which could easily be cut.

„Tutejszy most to najlepszy cel w południowej Rosji. Most ten oraz most na rzece Kuban koło Kawkazskaja mogą odciąć cały Kaukaz, z wyjątkiem drugorzędnej linii do Astrachania, która może być z łatwością przerwana. Na tej linii panuje tak ożywiony ruch, jakiego nie zaobserwowaliśmy na żadnej innej linii w Rosji“.

W czasie tej samej podróży Grow zwiedził także Tbilisi. 27 maja 1951 r. czyni następującą notatkę:

„Trzeci dzień w Tbilisi. Sites i ja wstawiamy o 9 — krótkie śniadanie w pokoju, a potem do miasta, na wywiad. Taksówką pojechaliśmy na północny zachód, aby obejrzeć coś, co wyglądało na park czołgów“.

Szpiegując, wędruje Grow z jednego miasta radzieckiego do drugiego. Jest szczególnie wrażliwy na wytopi obiekt, który mógłby zniszczyć; rozczarowany — gdy nie zdoła „odkryć“ żadnego „odpowiedniego“ celu. Marzy mu się tylko krew i zniszczenie. Zdaje się, że do wszystkich szpiegów odnoszą się słowa miltonowskiego arcyłotra: „Spustoszenie, zniszczenie, zagłada — oto moja nagroda“.

Mimo iż Grow wiele czasu poświęca na wyszukiwanie obiektów przyszłych bombardowań, znajduje jednak czas i na rozrywki. Toteż wynajduje przeróżne możliwości, aby „urozmaicić“ swe życie, przede wszystkim — alkohol. Gdy się czyta notatki tego samochwała, jak np. „dzisiaj pięć zaproszeń“, można by pomyśleć, że chodzi tu o zapiski jakiegoś nałogowego pijaka, a nie amerykańskiego dyplomaty.

Wiele przyjemności znajduje Grow w oglądaniu filmów. Już same tytuły ujawniają jego zainteresowania i poziom kulturalny. 11 kwietnia 1951 r. notuje:

„Dla ML i dla siebie kazalem wyświetlić film „Mitość potwora“, dosko- nała i bardzo pomysłowa komedia gangsterska“.

Dalej czytamy:

„Mord w pociągu“, niezły film“.

Także inne wymienione w pamiętniku filmy przedstawiają włamania, gwałty i morderstwa, których bohaterami są gangsterzy („porządni, anglosascy chłopcy“ — pisze). Z tych filmów czerpie on zapewne natchnienie do swych marzeń o osiągnięciu zamierzonych celów „wszystkimi sposobami, prawdą czy kłamstwem, dozwolonymi i niedozwolonymi chwytami“.

Sądząc z pamiętnika, ulubioną rozrywką Growa są gry hazardowe: ruletka, poker, wist, bingo. Ten rodzaj zabawy traktuje tak poważnie, że prowadzi dokładne rachunki zysków i strat. A jak wynika z zapisków, stawki w grze są zawsze bardzo wysokie.

Pamiętnik Growa ujawnia również kłębowski intryg i rozgrywek między amerykańskimi dyplomatami. Grow nie pomija też żadnej okazji, aby zanotować cyniczne uwagi o swoim przełożonym, ambasadorze Kirku. 14 kwietnia 1951 r. pisze:

„Kirk nie potrafi być naturalny w obejściu, a przy tym zachować godności szefa misji“.

Dokończenie nastąpi

Maksym Gorki

DWAJ WŁOČĘDZY

PRZEŁOŻYŁA JOANNA GUZE

— Dobrze... żegnaj, bracie! Pójdę.
— Nie wrócisz tutaj?
— Nie, już nie wrócę.
— Żegnaj. Jeśli dożyjemy... — machnął ręką i uśmiechnął się... — Zobaczymy się wkrótce. Nasze drogi wiadome... Żegnaj!

Jeszcze raz uśmiechnął się do mnie czarnymi oczami, w których dawno już zagasło podniecenie i świecił tylko smutek i ból. Ruszyłem do Stjepka...

O siódmej wreszcie byłem w Chańskiej; od razu znalazłem chatę Kozaka Makarszy i wszedłem na podwórze. Na brzegu studni siedziała kozacka dziewczyna i plotła warkocz.

— Czego chcesz? — zapytała.

Wyjaśniłem.

— Idź do ogrodu... Ale zostaw łaskę, bo psy się rzuca...

Zostawiłem łaskę i poszedłem do ogrodu. Wybiegły dwa psy, obwąchały mi nogi i przekonawszy się zapewne, że nie warto się mną zajmować, obojętnie znikły w krzakach. Dobiegł mnie głos Stjepka:

— Powiadasz — że nie wolno? Diabła tam — nie wolno! Głupia! Można! Nam wszystko wolno... Jesteś mi kumem? I tobie wolno... Myślisz, że jeśli kum, to nie można? A cóż to takiego kum? Puka do ciebie w nocy, do chaty... tak? Kto to? Wpuście na noc. Dobrze!... Mówisz — idź dalej, dobry człowieku, idź! Zona mi rodzi, idź. Tak? Aha! Przy-szedłem, zona urodziła; powiada — bądź kumem, taki obyczaj... To... O-o! Przyjacielu. To ci było wesele... Ptaszku boży. Skąd to? — krzyknął ujrzawszy mnie.

Siedział w cieniu pod gałęziami czerwini, naprzeciw pijanego rudego Kozaka w samej tylko koszuli, który bezmyślnie wytrzeszczał na mnie tępe i okrągłe oczy puchacza. Przed nimi na jakiejś barwnej szmatce stała manierka wódki. Stos jabłek, gotowane mięso i ogórki.

— Makarsza! Widzisz człowieka? — krzychał Stjepok — popychając mnie w stronę Kozaka.

— Widzę — westchnął Makarsza jakos ze skrucą, żałośnie, zamrugnął oczami i pokiwał głową, jakby zbierało mu się na płacz.

— Zaczekaj, Stjepok... powiedziałem.

— Widzisz? — nie chciał czekać Stjepok, stanowczo popychając mnie z tyłu pięściami i kolanami. — No, to pocałuj go... Bo obaj jesteście zatraceni pijacy... rodzeni bracia, ot co!

Wiesz kto to jest? Idźże, strachu na wróble!

— Wreszcie Stjepok doszturczał mnie do Kozaka; tamtem rozwarł ramiona i smakowicie mlasnął ustami. Stjepok nachylił mnie, popchnął i uderzył nosem o mokre wasy Kozaka, który natychmiast chwycił mnie za szyję... Ale wyrwałem się z jego rąk.

— No właśnie! — ucieszył się Stjepok. — Załatwione! Teraz jesteście przyjaciółmi. Szanuj go, Makarsza... wiesz, kto to? Syn kupca z Moskwy. No? sprzedał cztery dwupiętrowe domy i siedem sklepów bławatnych!... Milion! Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem! Wszystko przepił... ostatnie portki! — rzekł Kozak i ze smutkiem machnął ręką.

— Cha-cha! Bo on właśnie tak pije, do ostatnich portek! to znaczy tak długo, aż kuma ściągnie z niego portki i tiu-tiu!... I do karczmy Kozak nie pójdzie! A w domu gorzałki ani-ani! Zrozumiałeś? — tłumaczył mi Stjepok.

— Masłow umarł — powiedziałem wreszcie, korzystając, że uciszył się na chwilę.

Stjepok od razu zamilkł i z żalnym, niedowierzającym uśmiechem spojrzał na mnie.

— Na młockarni go skaleczyło... — dodałem.

— Tak! Moja prawda!... — zawył Stjepok, zbliadł i bez sensu zatrzepotał rękami. — Mówiłem temu durniowi; — uważaj, diable jeden, nie leż!... A on swoje: „Nie lubię ich!” Skaleczyli? Kozacy? Ci właśnie? Mordy zapijaczone? — Stjepok dotknął palcem czoła kuma i trącił go nogą w bok. — Jakże więc teraz? A ja to co?... Gdzie Masłow?... Cóż ty milczysz, drewno?! — krzyknął nagle rozwścieczony. — Mów, jak było? Połamał maszynę? A oni

go zbili? I umarł... Co? na śmierć? Cemu milczysz, gamoniu? — Zrobił straszną minę i przyskoczył do mnie z pięściami: — Mów tyzko chmie lowa!!! No? Ech, niech cię wszyscy diabli! Pijany jestem, czy co?

Kręcił się w miejscu, pocierał ręce, klaskał w dłonie, tarł sobie czoło, szarpał wasy i to bladł, to się czerwienił. Wódka parowała mu z głowy. Nie spieszyłem się z powiedzeniem mu prawdy, ciekaw w jakim stopniu efekt mojej wiadomości o śmierci towarzysza jest wynikiem podchmiele-nia, ile zaś z tego zostanie, kiedy wytrzeźwieje. Makarsza spoglądał to na jednego, to na drugiego z nas i nagle zaryczał dziko...

Stjepok spojrzał na niego błędnym wzrokiem, potem na mnie, na swego konia i w milczeniu usiadł na ziemi. Milczałem także, zastanawiając się co będzie dalej i czekając aż mu wódka całkiem wyparuje z mózgu.

— Cemu ryczysz? — zapytał ze zdziwieniem Kozaka.



Tamten wył i rozcierał łzy po twarzy.

— Człowiek... umarł! — przez łzy powiedział Kozak.

— A tobie co do tego? Milcz! Nie twój człowiek. Milcz, powiadam, głupcze!

— Będę płakać... Bo mi żal... ludzi, którzy umarli!

— A ja ci dam w gębę!

Kozak płakał i kiwał głową.

— Chodźmy, Maksym! — Stjepok wstał z nagłym postanowieniem. — Chodźmy.

Trzymał się mocno na nogach, podniecenie powoli znikło. Nadymał jednak co chwila policzki i z hałasem wypuszczał powietrze, mocno machając rękami.

— Jestem trzeźwy, no? Diabli wiedzą, co za głowa! Peka... trzeci dzień piję i nic nie rozumiem... Czy to prawda? Umarł? Ech, mówże, bracie!

— Nie, nie umarł...

Stjepok stanął i przyjrzał mi się uważnie.

— Ty, przyjacielu, nie żartuj... — powiedział z naciskiem i wymownie ruszył ramionami, zaciśkając pięści. — Nie żartuj!... Bo duszę z ciebie wytrzęsę. Zrozumiałeś? A teraz mów po porządku.

Wtedy opowiedziałem mu wszystko po porządku; w miarę tego jak opowiadałem, wracał do przytomności. Skończyłem. Zasepił się i milczał. Za krzakami, niedaleko od nas, ciskał się i gderał pijany Kozak:

— Kumje! Hej, kumie, psy przyszły... i zjadają wszystko. Precz!... Stiepan! Stiepan! Chyba nie trzeba ci już mięsa, jeśli te psy... Precz! To kuma!... precz!...

— Ta-ak... Znaczą maszynka rączkę ham-ham?! Niedobrze i niewesoło... Pójść do niego... Chyba już teraz z nim kreska... przepadnie. Ach, niech was diabli!... A... Odesłali do szpitala? No... Idę. Tak to! Ty dokąd? Dalej? No, idź dalej... Żegnaj! Powiedz, żal ci chłopca? Żal... A mnie dopiero! Piąty rok żyjemy dusza z duszą... Żegnaj, bracie... Pójdiesz na Beslan? No, zobaczmy się. Zapytaj tam o Kostię Gracza. Dobry chłopak... przyjaciel nasz, śpiewak... Tylko, że wielki złodziej. Powiedz mu o Masłowie. Pozdrowić Masłowa? Dobrze... No, ja zaraz tego... tylko trzeba się zobaczyć z kumą... kumą... A ty idziesz? Przenocuj. Nie? No to idź. Całkiem mu rękę? Te... Po ramię... Warto by podpalić tę maszynkę! Bardzo prosto, wsunęłoby się jej zapalki do brzucha i gotowe... ale i całe zboże by się spaliło, co? Doprawdy, spaliłoby się... tak blisko. No, wal... idź. Żegnaj bracie. Ja także tam w nocy poleżę.

Przygasł i mówił, nisko opuściwszy głowę. Krótkie zdania padały na kamienie, co chwila podnosił na mnie oczy. Ich wyraz przekonał mnie o miłości Stjepka do towarzysza. Rozeszliśmy się, mocno uściśnawszy sobie ręce.

Na stacji Beslan, skąd zaczęto wówczas budować linię kolejową Władykaukaz — Petersburg, nie znalazłem Stjepka.

Zasiegnąwszy wiadomości o Kostiu Graczu, dowiedziałem się, że osobistość ta zwędziła swornie i mutry i dostała się za kradzież do więzienia, ale że „to głupstwo i Kostiu nic nie zrobią”. Obdarty człowiek, który udzielił mi tej przyjemnej nowiny i wyjaśnił sens działalności Kostia, dodał:

— Nic mu nie zrobią. A dlaczego?... Dlatego, że Kostia umarł w warowni na tyfus... zrozumiałeś?

— Zrozumiałem i ucieszywszy się z tak pomyślnego dla Kostia rozwiązania, po dwóch dniach opuściłem Beslan i ruszyłem na Zakaukazie.

Minał rok. Przyjechałem do Baku z Astrachania w oczekiwaniu na statek idący w górę Wołgi. Wybrałem się na miasto; zaszedłem na Kutum. Byłem ubrany w długi płaszcz w kratę z patką z tyłu, zupełnie nowy; miałem na głowie kapelusz, także nowy, na nogach nowe kalosze. Wygląd bardzo kulturalny... a na nosie ciemne okulary...

Obok baby, sprzedającej z pudła wielce podejrzane mięso szarej barwy, z którego unosiła się kwaśna para, stał Stjepok, bez czapki, chudy, ale wesoły jak zawsze, z rzemieniem na plecach, z hakiem w ręce, i kładł do ust wielkie i aromatyczne kawałki mięsa, placąc na razie przekupce zarcikami. Z początku nie mogłem się zdecydować, żeby zagadać do niego, wstydziłem się swego kulturalnego wyglądu... ale pokonałem ten wstyd i podszedłem, zdjawszy uprzednio okulary, które włożyłem do kieszeni.

Stjepok!...

— E!... Ba... Tiu-tiu-tiu!!! Frr! A niech ci drzwi ścisną! Cóż ty takiego fasonu nabrał! Jaśnie wielmożny hrabio! Zechciej dać towarzyszowi piątaka na chleb i dwa na wypitkę!

Zmrużył mściwie i zuchwale oczy, jedną rękę przyłożył do czoła jakby salutując, a drugą wyciągał do mnie dłonią do góry.

Po takim przywitaniu mój kulturalny płaszcz nie mógł się nie zacerwieńić, kalosze zciemniały, kapelusz się zjeżył, a wszystko razem zrobiło się za wąskie, ciasne i ciężkie... Stjepok cofnął rękę i mrugnął na mnie:

— Ileś zwędził? Tysiąc? Więcej? Mów gdzie, także pójdę. To ci dopiero numer, Iwanowna! — zwrócił się do przekupki, która z nieposkromioną ciekawością wytrzeszczała na mnie czarne, okrągłe i wypukłe niby u raka oczy. — Przecie to mój kompan! Bóg mi świadkiem, który nas razem widział, jakieśmy w różnych miejscowościach bywali i tak dalej. Niech mnie cholera, jeśli kłamię! Zapytaj go, sam powie! No! a! — Stjepok z komickim podziwem przykucał przede mną. — Panie! Jakże mam z tobą po jednej ziemi chodzić? Chyba na rękach będę dla odróżnienia...

Powiedziałem Stiepkowi kilka serdecznych, pełnych wyrzutu słów i zaprosiłem go do szynku; ale nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

— Iwanowna! Zrozum! Idę do szynku... Piję szampana i jem... pieczone słowiki! Iwa-nowna! — na cały Kutum wrzasnął Stiepok, wywinął koziółka na ziemi i — kanalia! — wysmarował swoimi łapciami barwne poły mojego kulturalnego płaszcza...

Sytuacja moja była nieprawdopodobnie głupia... Wokół nas zebrał się tłum.

— Chodźmy, Stiepok, jeśli chcesz! — powiedziałem surowo.

— Słucham, jasnie wielmożny... — I ruszył obok mnie zdjawszy kapelusz i dumnie rozglądając się na wszystkie strony.

O, umiał się mścić wyrafinowanie i na przestrzeni dziesięciu sążni dzielących nas od drzwi szynku zrobił mi tyle przykrości, ile człowiek nie zazna na pięciu wiorstach. Ale drzwi szynku zamknęły się już za nami. Siadłem przy stole i zapytałem:

— Chcesz herbaty?

Zachmurzył się nagle i spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Czy wódki?

— A co ty... — zaczął Stiepok i urwał.

— No? — zapytałem.

— Daj mi rubla... pójdę... — rzekł głucho.

Ale namówiłem go, żeby został i zapytałem o Masłowa. Spojrzał na mnie i nagle uśmiechnął się znanym mi uśmiechem; nabrałem nadziei, że dojdziemy do porozumienia i że nie będzie sobie kpić ze mnie.

— Pamiętasz Masłowa? To ci dopiero!... Masłow umarł... Gangrena. Umarł... Zakopali go, cały był w czarnych płasnach, jakby się ścisnął z kominem od pieca. Umarł. Ech! To był chłop... dla mnie... tak! Du-sza!

Znowu zamilkł i jakoś otępił na chwilę, zgąś, skurczył się... Przyniesiono herbatę i wódkę.

Stiepok spojrzał na to i znowu się uśmiechnął, ale tym razem cynicznie.

— No, opowiedz, jakieś się wzbogacił... Ciekawe...

Wtedy opowiedziałem mu. Słuchał uważnie i w milczeniu. Skończyłem.

— Hm... Więc co? Nie z potrzeby byłeś włóczęgą, ale tak, przez ciekawość?

— Tak...

— No, no... Też mi ciekawość... A teraz z powrotem... nie spodobało się? Sprytnie!

— Chcę jeszcze chodzić.

— No... nie wiem... Znaczą... po prostu chodzisz i tyle?

— Bo co?

— Nic... Ja tak... — gryźł wąsa. — Bez żadnego celu, znaczą... pochodzić i do domu? Na piec?

— Nie, miałem cel. Chciałem dowiedzieć się jacy są ludzie...

— Po co?

— Żeby wiedzieć...

— Tak! I to wszystko? Po prostu przyjrzeć się i tyle?

— Może opiszę... w gazecie.

— W gazecie? A komu to trzeba... wiedzieć o tym? Czy też żeby się pochwalić — co to ja niby potrafię!

Chłopak walił celnie, trzeba mu oddać sprawiedliwość. Znał duszę ludzką i — powiem szczerze — wprawiał mnie w zakłopotanie swoimi pytaniami.

— Nie, w ogóle... żeby ludzie wiedzieli.

— O nas?! — Stiepok uśmiechnął się szeroko i złośliwie uniósł brwi.

— O was...

— Tek!... Tak!... tratatak!

Wstał i spojrzał na mnie ze złością zmrużonymi oczami.

— Wiesz co, Maksym? — zapytał.

— Co?

— To wielkie świństwo! — powiedział dobitnie, pogroził mi pięścią i wyszedł bez pożegnania.

Siedziałem i patrzyłem na zastawę do herbaty, butelkę z wódką... Patrzyłem i myślałem o tym, za co mnie Stiepok zwymyślał? Ma rację, czy nie ma?

— Daj rubla! — wsunął rękę przez okno.

Dałem.

— Phi! Bardziej widać bogaty — całe trzy! Urrr! A do dołów na śmiecie nie włączysz przez ciekawość, co?

— Nie.

— Szkoda... pomógłbym ci. Właziłbym do najgłębszego!

I znikł.

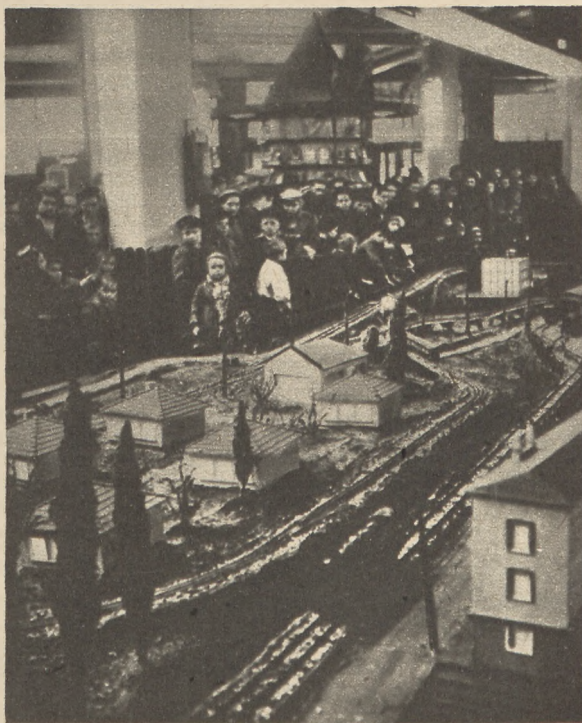
K O N I E C



ZACIEKAWIONY WZROK DZIECI ŚLEDZI TORPEDĘ PRZEJEŻDŻAJĄCĄ PRZEZ MOST.

KOLEJKA ELEKTRYCZNA

W C. D. D.



Na prawo biegnie w górę ulica. Za torami widzimy osiedle mieszkaniowe i przedszkole. Oszklony, wysoki budynek, który widać w głębi — to elektrownia.

Zdumienie, radość i zachwyt, widoczne na twarzach młodocianych gości, są najwdzięczniejszym podziękowaniem dla organizatorów tej atrakcji w C. D. D.



COŻ za wspaniałą, nową atrakcją mają znów dzieci w warszawskim Centralnym Domu Dziecka! Mały tłumek ciasno oblega niskie ogrodzenie, za którym...

Na małym podniesieniu rozciąga się miniaturowe miasto; przyjrzyjcie się bliżej: starsze dzieci zgadną od razu — to kraj budownictwa socjalistycznego. Na prawo — nowoczesna huta. — Widać martenowskie piece, dalej osada, małe murowane domki, kryte czerwoną dachówką, piękne zielone drzewa, drogi i zagonki, a pośrodku osady — przedszkole. —

Za wałem i torem kolejowym znajduje się fragment miasta. Są tu nowoczesne bloki jasnych „kilkupiętrowych” domów. Ulica, oświetlona latarniami, biegnie aż do stacji kolejowej.

Stacja nazywa się „Radość” i naprawdę radością jest patrzeć na piękny dworzec, na zieleńce, kwietniki i maleńkie, jak dla lalek, ławeczki.

Właśnie podjechał pociąg, minął stację, popędził dalej w górę, po szynach — to elektryczna torpeda. Jedzie przez tunel, przebiega most, jest już blisko miejsca przeznaczenia. Widać piękny dom wypoczynkowy FWP „Przodownik” — stojący na dużym wzniesieniu, dalej porośnięte świerkami zbocza gór, kilka małych domków — znowu osada.

Jedzie drugi pociąg, już nie torpeda, ale lokomotywa i wagony osobowe, towarowe i węglarki, pełne węgla.

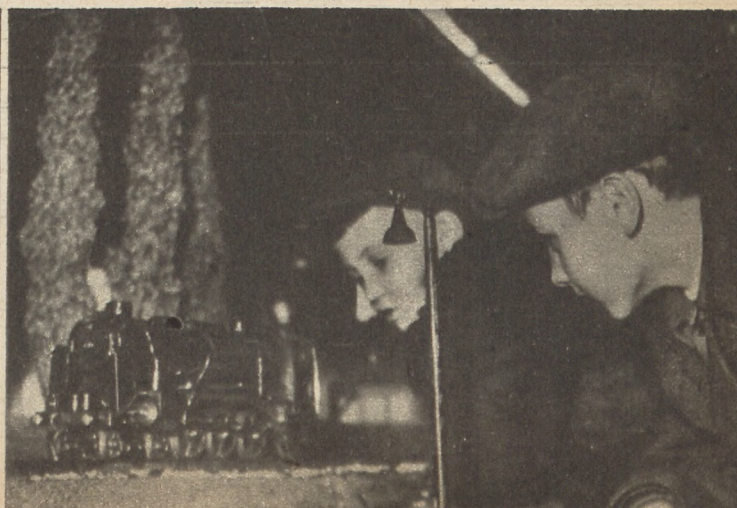
Budka dróżnika, semafor, przekładnie, maleńkie słupy telegraficzne i wspaniała „ogromna” elektrownia. Na bocznicę całe sterty węgla, z drugiej strony jezioro, przez które przerzucony jest most... właśnie przebiega po nim kolej.

Wspaniała plastyka i naturalność barw, staranne wykończenie każdego szczegółu, tworzą harmonijną skomponowaną całość.

Wszystkie domki jaśnieją elektrycznym światłem. Tłem jest rozciągająca się na całą ścianę panorama Polski: od morza przez przemysłowe tereny kraju, aż po Tatry.

Małe miasto w CDD jest miłą rozrywką dla dzieci, od najmłodszych do... Spójrzmy tylko, ilu dorosłych z nie mniejszym zainteresowaniem przygląda się biegnącej po szynach kolejce. (K. T.)

Krzyś Domański i Andrzej Kazimierczak „okiem znawców” przyglądają się lokomotywie. Może kiedyś w przyszłości zostaną sławnymi konstruktorami.



AFRYKA

„TYLKO DLA BIAŁYCH”



„Tylko dla Europejczyków” — opiewają napisy w sklepach, tramwajach, auto-

busach miast południowo-afrykańskich, gdzie dyskryminacja święci triumfy.

W DRUGIEJ połowie marca Unia Południowo - Afrykańska stała się widownią wielkich uroczystości i groźnych rozruchów. Uroczystości zakończyły się. Rozruchy trwają.

W tym samym czasie, gdy obchodzono 300-setną rocznicę przybycia pierwszych białych kolonistów do Południowej Afryki, Sąd Najwyższy uchylił decyzję premiera Malana, pozbawiającą Hindusów prawa głosu w wyborach, co stało się bezpośrednią przyczyną demonstracji i rozruchów.

Ale czyżby dopiero niezgodne z konstytucją posunięcie Malana otworzyło oczy Najwyższemu Sądowi i całej opozycji na fakt istnienia dyskryminacji rasowej w Unii Południowo - Afrykańskiej?

NARASTANIE EKSPLOATACJI

Dyskryminacja rasowa była zasadą polityki wszystkich rządów Unii, od chwili jej powstania. W początkach bieżącego wieku Wielka Brytania zwycięsko zakończyła krwawą wojnę przeciwko Boerom, jedynej białej ludności w Afryce Południowej, pochodzącej z holenderskich i niemieckich osiedleńców. Celem ściślejszej kontroli Boerów, któ-

rzy wciąż myśleli o pozbyciu się panowania Anglików, oraz dla owocniejszej eksploatacji gospodarczej, Anglicy połączyli w 1910 roku najbogatsze, obok siebie leżące terytoria: Natal, Transvaal i Oranię, obfitujące w złoto, miedź, diamenty i inne kopaliny — w „Unię Południowej Afryki”. Marszałkowie Hertzog i Smuts, którzy na zmianę zarządzili Unią do 1948 roku, stali się wkrótce, zwłaszcza Smuts, wielkimi przyjaciółmi Wielkiej Brytanii, bo — jak się okazało — imperialiści brytyjscy wcale nie mieli zamiaru zniszczenia feudałów Boerów, lub wtrącania się do ich polityki wewnętrznej wobec krajowców, zadowolając się gospodarczą eksploatacją kraju i jej kolorowej ludności.

Takie było tło powstania dzisiejszych stosunków, w których 2,5 miliona białych rządzi 8 milionami Murzynów, milionem Mulatów i 250 tysiącami Azjatów, przeważnie Hindusów. Biali fermerzy i przemysłowcy stanowią zaledwie 13 procent ludności, ale posiadają 87 procent ziemi uprawnej i wszystkie kopalnie miedzi, złota i diamentów, których „królem” jest Anglik Oppenheimer, multimilioner diamentowy.

Dla kolorowej ludności stworzono „rezerwaty” i „ghetta”. Murzyni nie

pochodnia. W wielu miastach doszło do starć między demonstrantami a policją.

mają prawa mieszkać w 21 miastach. W Oranii stanowią oni 70 procent ludności, ale ich „rezerwat” obejmuje zaledwie 0,5 procent powierzchni tej dużej prowincji. W prowincji Natal 30 tysięcy kolorowych dzieci w ogóle nie widziało szkoły. Murzyn w Unii Południowo - Afrykańskiej żyje przeciętnie 36 lat, pracując ponad siły na plantacjach, lub w kopalniach, w najbardziej prymitywnych, niebezpiecznych dla życia warunkach. Oczywiście, olbrzymia większość tych proletariuszy była pozbawiona prawa głosowania. Tak się działo do roku 1948, do utworzenia rządu przez Malana, i tak się działo w ciągu 2 i pół lat jego rządów.

Jak więc wobec tego wytłumaczyć to nagłe oburzenie opozycji z powodu pozbawienia prawa głosowania jeszcze 50 tysięcy Hindusów...

WIELEBNY PASTOR MALAN

Sługa boży i premier Unii, pastor Malan, urodził się 78 lat temu. Wychowany był w krańcowym nacjonalizmie przez rodziców Boerów, wielkich feudałów, którzy nienawidzili Anglików i ich rządów. Żył wpajaną mu nienawiścią do Smutsa, który służył Anglikom. Kształcił się w akademii teologicznej w Holandii. W latach międzywojennych stał się entuzjastą faszystów i rasistowskich teorii Hitlera. W kilka miesięcy po zagarnięciu władzy przez Hitlera w Niemczech — założył własną nacjonalistyczną - faszystowską partię „Afrikaner”. Operował dwoma hasłami; dla mas: „Bóg mną kieruje”; dla kapitalistów i obszarników: „Południowa Afryka dla Afrikaner”. Ci ostatni nie żałowali pieniędzy na finansowanie jego partii.

Tak więc w Unii Południowo - Afrykańskiej zwalkały się dwa obozy wielkokapitalistyczne: pro - brytyjski „Zjednoczonej Partii” Smutsa, której obecnie przewodzi Strauss, oraz obóz skrajnych nacjonalistów, pod dowództwem Malana, dążący do oderwania się od Wielkiej Brytanii i stworzenia samodzielnego imperium. Przyczyną walki opozycji przeciwko Malanowi nie jest wcale sprawa dyskryminacji kolorowych, którym nie wiodło się lepiej za rządów ich byłego przywódcy, marszałka Smutsa... Ale śledźmy dalej fakty.

W okresie drugiej wojny światowej, pastor Malan stawiał na Hitlera. Ale Niemcy przegrały wojnę, a sługa boży, pastor Malan, demagogicznie przestrzegał swoich „Afrikaner”, że jeżeli Smuts znów wygra wybory (w 1948 roku) białe dziewczęta będą zmuszone do wychodzenia za mąż za „wons” — kolorowych nie-ludzi...

Po wyborach Malan stworzył rząd, którego członkowie należą do tajnego stowarzyszenia afrykańskich rasistów — „Afrikaner Broederbund”. Rozpoczęła się realizacja programu polityki „Apartheid” — pełnej dyskryminacji rasowej, w myśl której „Afrikaner” mieli się stać „Herrenvolkiem”. Uchwalono 60 ustaw rasistowskich, zlikwidowano „Krajową Radę Tubylców”, anulowano wszystkie wydatki na budownictwo dla kolorowych, zwiększono ilość „rezerwatów” i „ghett”.

Wrogość Malana wobec Wielkiej Brytanii wzmogła się w 1950 roku, kiedy stały się wiadome plany „Colonial Office” zmierzające do stworzenia „Centralnego Imperium” w Afryce Południowej z terytoriów Bechuanaland, Północnej i Południowej Rhodesii. — Terytoria te Malan chciał wcielić do „wyzwolonej” Unii.

POPATRZMY NA ZYSKI

W odpowiedzi na plany brytyjskie, Malan zacieśnił stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, otwierając szeroko wrota Unii dla ich kapitału. Osobiście nie wyszedł na tym źle. Do posiadanych już bogactw dołączył akcje takich koncernów kopalni złota i miedzi, jak: „Wel-



Pastor Daniel Malan, premier Unii Południowo - Afrykańskiej, entuzjasta Adolfa Hitlera, wprowadził kilkadziesiąt nowych ustaw rasistowskich.

come Gold Mining Co”, o amerykańsko-angielskim kapitale (zysk za rok 1951 „tylko” półtora miliona f. szt.), „Harmony Gold Mining” (koncern amerykański z zyskiem dwa miliony f. szt. za 1951 rok), „Anglo-Vaal Group of Johannesburg” — koncern transportu i komunikacji drogowej, lotniczej i morskiej, odkupiony od Anglików przez kapitalistów amerykańskich.

Opozycja, za którą stoi brytyjski „Colonial Office”, rozpoczęła kontrakcję. Rzuciła hasło: Malan musi odejść! Północna wywołała kryzys rządowy. Opozycja spowodowała, że przywódca Hindusów pozbawiony głosu przez Malana i reprezentowanych w parlamencie przez czterech białych, odwołali się do Sądu Najwyższego. Weteran II wojny światowej, pułkownik - pilot Malan (daleki krewny premiera) stworzył organizację b. wojskowych pn. „Commnado Torch” i rozpoczął akcję masową przeciw Malanowi.

„WSZYSTKO STRACONE”

Taka była atmosfera w kraju tuż przed rozpoczęciem uroczystości 300-setnej rocznicy przybycia do Afryki Holendra, Jana van Riebeecka, na statku Goede Hoop, na czele pierwszej grupy białych kolonistów. Uroczystości te były uświetnione pokazem pierwszych bombowców, zbudowanych w Unii przez Willi Messerschmidta. Ten hitlerowski konstruktor samolotów, został wspaniałomyślnie odstępiony Malanowi przez władze amerykańskie.

I właśnie w trakcie tych uroczystości Sąd Najwyższy orzekł, że decyzja Malana, pozbawiająca prawa głosu 50 tysięcy Hindusów jest sprzeczna z konstytucją. Malan oświadczył, że orzeczenie tego nie uzna i nie pozwoli, by sąd wkraczał w jego kompetencje. Rozpoczął się kryzys rządowy.

Niemoralne posunięcia rządu zostały uznane za nielegalne. „Zrezygnuj z władzy! Zrezygnuj! Zrezygnuj!” — wołał dramatycznie w parlamencie przywódca opozycji, Strauss.

W Pretorii doszło do walk ulicznych między przeciwnikami Malana a policją. W Kapstadzie i Johannesburgu, pro-brytyjscy członkowie „Commnado Torch” maszerowali ulicami wznosząc okrzyk: „Malan, precz!”

Malan boi się, że jeśli podda się żądaniom opozycji, fanatyczni zwolennicy „Apartheid” usuną go z kierownictwa partii i rządu. Boi się też Straussa, który na czele opozycji może dokonać przewrotu i stworzyć rząd pro-brytyjski, jak to już zrobił raz w 1938 roku Smuts...

Malan, „kierowany przez Boga”, wierzący w przeznaczenie, pamięta, że wieś w której się urodził, nazywa się „Alles verloren” — „Wszystko stracone”...

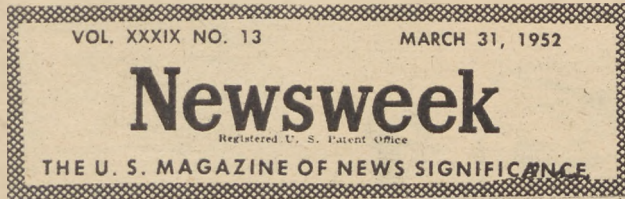
JAN GITLIN



Przeciwnicy Malana organizują demonstracje uliczne, których symbolem jest

NAJNIEPOPULARNIEJSZA WOJNA

W tygodniku amerykańskim „Newsweek” z dn. 31 marca rb. czytamy na temat wojny w Korei:



Administration. The White House is well aware that Korea is the most unpopular war since 1812. In an election year, this carries special weight.

„Biały Dom w pełni zdaje sobie sprawę, że Korea jest najniepopularniejszą wojną od czasu wojny 1812 roku”.

I dalej:

Pressure from the U.N. allies. The war is even less popular in Britain and France than in America. London and Paris would give a lot to be out of it. They certainly won't go along with the U.S. on any such alternatives as bombing or blockading China. The U.S. might be all by itself and getting in deeper and deeper.

„Wojna ta jest jeszcze mniej popularna w Anglii i Francji. Londyn i Paryż dąłyby wiele, gdyby mogły się z niej wypłatać. A już z całą pewnością nie zgodzą się poprzeć Stanów Zjednoczonych w żadnej z takich akcji, jak bombardowanie lub blokada Chin. Stany Zjednoczone mogą się znaleźć w odosobnieniu i pograć się coraz głębiej i głębiej”.

DWAJ GENERALOWIE

Wszystko odbyło się w sekrecie i po cichutku. Dr Walter Schreiber wyładował w Nowym Jorku, potem pojechał do Waszyngtonu, odwiedził Pentagon (siedziba min. woj-

Gdy generał Schreiber został zdemaskowany, organizacje postępowe w Ameryce rozpoczęły akcję protestacyjną przeciwko zatrudnianiu hitlerowskiego ludobójcy przez



Gen. Walter Schreiber (w środku) w rozmowie z amerykańskim oficerem.

ny) i udał się do Teksasu. Tam zainstalował się w bazie lotnictwa wojennego USA, jako rzeczoznawca spraw higieny i medycyny. Mówiono, że „pracował naukowo”.

Potem dopiero wyszło na jaw, że ów cichy pracownik naukowy to nikt inny, tylko generał hitlerowskiego „Wehrmachtu”, główny specjalista od wojny bakteriologicznej, ten sam, który kierował zbrodnictwami doświadczalnymi, dokonywanymi przez hitlerowców na więźniach obozów koncentracyjnych.

sztab amerykański. Z obroną hitlerowskiego generała wystąpił naczelny lekarz lotnictwa amerykańskiego, gen. Armstrong, który oświadczył, że Schreiber „służył swojemu krajowi tak, jak on, Armstrong, służy swojemu”.

To oświadczenie stało się w pełni zrozumiałe po ujawnieniu faktów o użyciu przez wojska amerykańskie w Korei broni bakteriologicznej. Istotnie, Armstrong i Schreiber robią dokładnie to samo. Obydwaj są też takimi samymi zbrodniarzami.

ROMMEL W ODWROCIE



Fot. UP

Tablice reklamowe idą na złom.

Film amerykański p. t. „Lis Pustyni”, gloryfikujący hitlerowskiego marszałka Rommla, miał się w tych dniach ukazać na ekranach kin włoskich. Już nawet porozwieszano reklamowe plakaty i tablice, zapowiadające premierę filmu. Jednakże w wielu miastach włoskich

doszło do burzliwych demonstracji przed lokalami kin, a w prasie ukazały się liczne artykuły protestacyjne. Pod wpływem gwałtownego sprzeciwu opinii publicznej, film został w ostatniej chwili zdjęty z ekranów włoskich. Tablice reklamowe poszły na złom.

TITO O NICH I ONI O TITO

Wiązanka głosów prasy amerykańskiej na temat Tito.

W związku z dewaluacją dinara jugosłowiańskiego organ wielkiego kapitału amerykańskiego, „Wall Street Journal”, pisał dn. 29 grudnia 1951:

„Dewaluacja dinara jugosłowiańskiego przyniesie ogromne korzyści Stanom Zjednoczonym i innym krajom zachodu, które kupują (w Jugosławii) znaczne ilości surowców strategicznych”.

„New York Times” ocenia dewaluację dinara jako krok oznaczający przejście gospodarki jugosłowiańskiej na tory „systemu wolnego przedsiębiorstwa typu zachodniego”. Zważywszy, że określenie „wolne przedsiębiorstwo” jest amerykańskim pseudonimem dla pojęcia „kapitalizm”, pojmujemy zachwyty prasy amerykańskiej nad Titem.

Wobec obywateli Jugosławii Tito nie może oczekiwać otwarcie przyznawać się, że dąży do odbudowy kapitalizmu. Dlatego też, jak donosi „New York Times” z dn. 3 stycznia 1952 r., „Tito zaczyna głosić tezę, że

prawdziwy socjalizm istnieje w Stanach Zjednoczonych”. Dosłownie!

„United Press” w depeszy z dn. 30 grudnia 1951 donosiła: „Jugosławia odrzuca jeszcze jedną zasadę komunistyczną i zaprasza prywatnych kapitalistów zachodnich, by lokowali swe kapitały w kopalniach i innych przedsiębiorstwach jugosłowiańskich”.

„New York Times” z 23 stycznia br. donosił, że wielki koncern amerykański „Anaconda” dokonał poważnych lokat kapitałowych w Jugosławii. „Manchester Guardian” z 24 stycznia donosi w artykule poświęconym uniwersytetom jugosłowiańskim, że „wszystkie dotacje i stypendia rządowe dla studentów zostały wstrzymane... Oznacza to, że wielu studentów będzie musiało przerwać naukę”.

Kropkę nad „i” stawia organ Wall Street „Business Week”, który pisze: „proces likwidacji socjalizmu (w Jugosławii) idzie w parze z zacieśnianiem się stosunków gospodarczych i politycznych z zachodem”. Słowem, obie strony są nawzajem sobą zachwycone.

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO W USA

W tygodniku „Newsweek” (17 marca 1952) czytamy:

„W styczniu, zdarzyła się znowu krwawa rozprawa. Dwaj mężczyźni zastrzelili Charleya Grossa, ex-bookmachera, który był mężem zaufania okręgowej organizacji partii republikańskiej, a równocześnie pobierał uposażenie od Partii Demokratycznej. Dzienniki, koła przemysłowo-handlowe i organizacje polityczne doszły do wniosku, że Gross został zamordowany

przez szajkę z zachodniej dzielnicy miasta. W skład tej szajki wchodziły ludzie z obu partii (demokratycznej i republikańskiej), którzy są na usługach starej bandy Al Capone, rozpścieńającej swe wpływy na ratusz chicagowski i na stanowe władze ustawodawcze”.

Wśród członków tej szajki znajduje się m. in. William Erickson, który ubiega się obecnie z ramienia partii republikańskiej o urząd gubernatora stanowego.

Nagrody w Konkursie „ŚWIATA”

Uwaga, uczestnicy naszego konkursu — „Kłopoty mistrza Pendzelka”! Przypominamy, że termin nadsyłania odpowiedzi upływa 20 kwietnia b.r.

Zwycięzcy otrzymają drogą losowania:

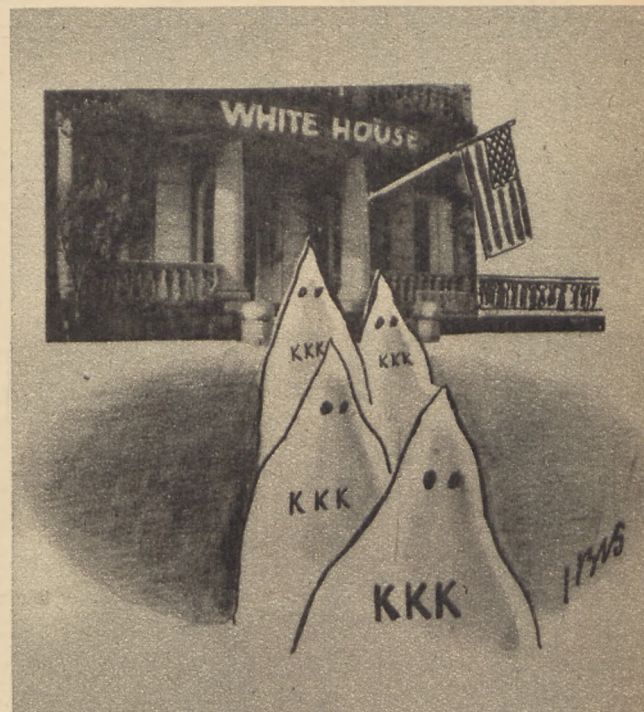
- I nagroda — aparat fotograficzny
- II nagroda — kupon materiału
- III nagroda — album rysunków

H. Daumier'a

oraz 30 cennych nagród książkowych.

Za najlepsze rozwiązanie zespołowe przyznana zostanie nagroda specjalna: siatka i piłka do siatkówki.

Z cyklu: Miesiąc czystości na zachodzie



BIAŁY DOM

**UWAGA CZYTELNICY
OBNIZKA PRENUMERATY
„ŚWIATA”**

Z DNIEM DZISIEJSZYM CENA W PRENUMERACIE TYGODNIKA „ŚWIAT” WYNOŚI:

- miesięcznie — 4 zł
- kwartalnie — 12 zł
- półrocznie — 24 zł
- rocznie — 48 zł

*

PRENUMERUJĄC „ŚWIAT” ZAMIAST KUPOWAĆ GO W KIOSKACH —

- OSZCZĘDZASZ ● miesięcznie — 1 zł. 20 gr.
- kwartalnie — 3 zł. 60 gr.
- półrocznie — 7 zł. 20 gr.
- rocznie — 14 zł. 40 gr.

ZAPEWNIASZ SOBIE PUNKTUALNĄ I REGULARNĄ DOSTAWĘ PISMA



TANIO i ŁADNIE



A więc znowu o wiosnie... (No, cóż: nie nasza wina, że się spóźniła). Tym razem jednak ustabilizowała się chyba na dobre — i jest nadzieja, że wreszcie zdejmie- my pelisy i palta. Ponieważ zaś ocieplenie może nastąpić gwałtownie — na wszelki wypadek demonstrujemy modele przydatne na dnię ciepłe, słoneczne.

U góry na lewo: Suknia- płaszcz z wełny lub samo- działu, zapinana na duże guziki obciągnięta skóra, skórzany pasek, fantazyjna kieszeń, szerokie mankiety i kołnierz — oto efektowna całość. Do tego jeszcze ka- pelusik z czola i, na wszelki wypadek, parasolka.

Jeśli parasolka nie wystar- czy (wiosną nigdy nie nie wiadomo) — wtedy wkłada- my płaszcz nieprzemakalny z kapuza. Płaszcz ściągamy paskiem metalowym w for- mie łańcuszka (patrz model u góry na prawo).

Na dole: kostiumik-gar- sonka. Bardzo obcisły, wcię- ty, z baskinką podwójną ozdobioną guzikami. Uzupeł- nieniem całości jest bluzecz- ka w pasie z kołnierzem i mankietami wywiniętymi.

ROZRYWKI UMYŚŁOWE

SZYFROGRAM



Do pionowych rzędów po- danej figury wpisać na miej- sce liczb 9 wyrazów pięcio- literowych o poniższych zna- czeniach. Następnie wpisać wszystkie litery według ko- lejności odpowiadających im liczb od 1 do 45 i odczytać rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 11) środek lokomocji, 42) Wa- łek, rulon, 17) Posunięcie tyżwy po lodzie, 5) W gwa- rze sportowej: zwolennik drużyny, 26) staty obserwator jej meczów, 25) Orlonek orga- nizacji młodzieżowej w Polsce, 1) Część ładu zew- sząd otoczona wodą, 8) Ja- dalny tłuszcz roślinny, 15) Część twarzy, 41) Jeden z najstarszych kronikarzy pol- skich.

Rozwiązania należy nad- syłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się nume- ru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Roz- rywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązanie, roz- losowanych zostanie

20 nagród książkowych

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 10 (33)

SZYFROGRAM: Wszyscy biorą udział w dyskusji nad projektem Konstytucji (po- sci, sesja, Ursus, Bytom, Dunaj, dzicz, jądro, tytkwy, cynik, witki).

Za dobre rozwiązanie za- dania z nr 10 (33) nagrody książkowe otrzymują:

1) Z. Adamska — Gdańsk- Oliwa, ul. Derdowskiego 8, 2) Z. Bryczkowski — Lub- lin, ul. Zachodnia 6, 3) B. Dumański — Siemianowice, ul. Lompy 2, 4) T. Gołę- biowski — Kraków, ul.

Urzędnicza 42, 5) S. Gru- bowski — Poznań, ul. Kole- jowa 55, 6) J. Gułińska — Radzymin, ul. 3 maja 11, 7) B. Jakubowska — Kra- ków, ul. Siemiradzkiego 19, 8) E. Jekiel — Oświęcim, ul. Kolejowa 18, 9) J. Korkor — Sopot, ul. Wybickiego 21, 10) M. Kominkowa — Gli- wice, ul. Sobieskiego 21, 11) E. Kopytko — Chorzów, ul. Kluczborska 3, 12) M. Kwoka — Głucholazy, ul. Kolejowa 2, 13) W. Mey- sner — Poznań, al. Litew- ska 14, 14) J. Molitor — By-

tom-Lagiewniki, ul. Stali- na 21, 15) A. Olbrychtówna — W-wa, ul. Goszczyńskie- go 14a, 16) J. Piotrowski — Toruń, ul. Mickiewicza 132, 17) H. Sierakowska — Gd- ynia, ul. Słaska 51, 18) M. Sorokinowa — W-wa, ul. Radzyńska 2, 19) A. Sul- kowski — Szczecin, ul. Dworcowa 20, 20) M. Tu- manowski — W-wa, ul. No- wolipie 21.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

MECZ SZACHOWY

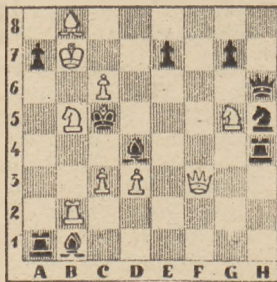
„Świat” — Czytelnicy

Przed dwoma tygodniami zwróciliśmy się do Czytel- ników z prośbą o podanie, w jakim dniu tygodnia i o jakiej porze mogą w swej miejscowości nabyć „Świat”. Otrzymaaliśmy kilkadziesiąt odpowiedzi. Użytkane in- formacje pomogą Redakcji w usunięciu istniejących je- szcze niedociągnięć w kol- portażu naszego pisma.

W odpowiedziach Czytel- ników na szóste posunięcie

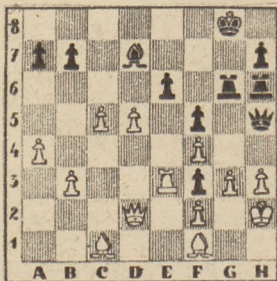
SZACHY

KONKURS „A”
ZADANIE 39
L. Łoszyński



Mat w 2 posunięciach

KONKURS „B”
ZADANIE 40



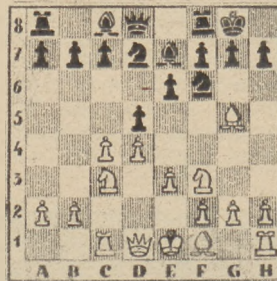
Pozycja ta pochodzi z par- tił Vaszek — Steiner, gra- nej w jednym z turniejów w Czechosłowacji. W przed- stawionym położeniu posu- nienie przypada na czarne, które efektownie wygrały. Jak?

w naszym meczu otrzymali- my dwa ciekawe listy z róż- nych miejscowości, ale po- ruszające wspólny temat. Witold Fenger z Poznania pisze, że zwerbował jeszcze dwóch uczestników do na- szego meczu. Przysłali już oni swoje posunięcia. A Ro- bert Grzywiński z Elku wy- słał taką propozycję: „Pro- ponuję, aby do meczu wpro- wadzono w losowaniu na- gród jeszcze jedną grupę — za wciągnięcie do meczu naj- większej liczby uczestni- ków”.

Pomysł R. Grzywińskiego jest rzeczywiście słuszny. Wobec tego ogłaszamy: co 2 miesiące zostaną przyzna- ne (nie wykłosowane!) na- grody za zwerbowanie naj- większej liczby nowych ucze- stników meczu szachowe- go „Świat” — Czytelnicy. Na liście kandydatów do nowych nagród figuruje na- razie W. Fenger z cyfrą 2. Wydaje się nam, że już za dwa tygodnie wypadnie wpi- sać na tę listę wiele nowych nazwisk.

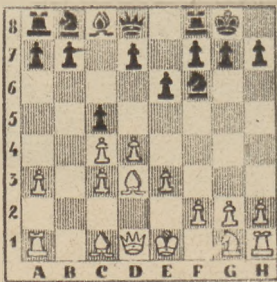
Przechodzimy teraz do od- powiedzi Czytelników na szóste posunięcie „Świata”. Jak było do przewidzenia — są one bardzo różne. W par- tił W1 największą ilość (30,4%) głosów otrzymał ruch Sb8—d7. Na dalszych miejscach posunięcia: h7—h6 (19,6%), Sf6—e4 (13,7%) oraz c7—c6 (9,9%). W par- tił W2 pierwsze miejsce za- jeło posunięcie 0—0 (29,7% głosów), dalej Sb8—c6 (18,8%), b7—b6 (10,9%), d7—d5 (9,1%). Po siódmym posunięciu Redakcji partie nasze wyglądają następują- co:

PARTIA W1



1. d2—d4 d7—d5
2. c2—c4 e7—e6
3. Sb1—c3 Sg8—f6
4. Gc1—g5 Gf8—e7
5. e2—e3 0—0
6. Sg1—f3 Sb8—d7
7. Wa1—c1

PARTIA W2



1. d2—d4 Sg8—f6
2. c2—c4 e7—e6
3. Sb1—c3 Gf8—b4
4. a2—a3 Gb4:c3+
5. b2:c3 c7—c5
6. e2—e3 0—0
7. Gf1—d3

Przypominamy, że odpo- wiedzi na siódme posunięcie Redakcji należy wysłać naj- później we wtorek, 22 kwiet- nia br.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenu- merata i Kolportaż: PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.—, — kwartalna zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—. Należ- ność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr 1-21040/110.

Zakłady Wkłęsłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 58/72 Zam. 282. Pap. rotogr. V/80—82. 3-E-15794

GADULSTWO TO RZECZ KARYGODNA

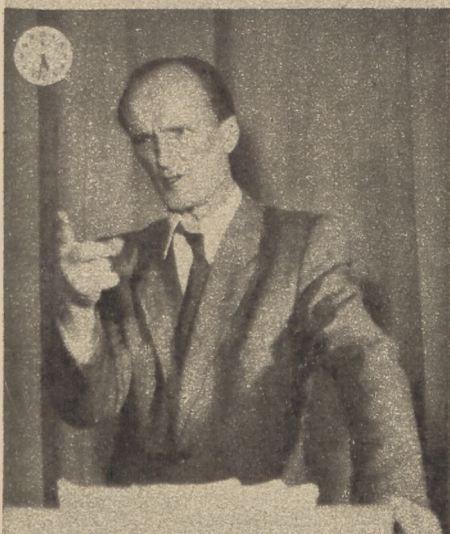
WACŁAW JANKOWSKI
PRZEMAWIA

(Teatr „SYRENA”)

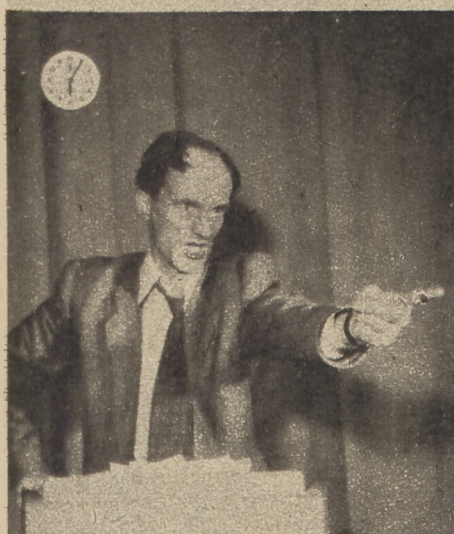
Fot. J. KOSIDOWSKI



Zebrał się tutaj, proszę kolegów, ażeby rozważyć niestychanie pałace zagadnienie. Jak wiemy — największą plagą wszystkich zebrań jest powszechnie występujące, rzekłbym, karygodne gadulstwo mówców, i dlatego zebrał się tutaj, aby dać wyraz protestu przeciwko temu gadulstwu...



Zastanówmy się, ileż cennego czasu, który moglibyśmy poświęcić na konkretną, pozytywną rezultaty dającą pracę, marnujemy na czcze i nikomu niepotrzebne gadulstwo... Nie chciałbym się powtarzać, proszę kolegów i dlatego jeszcze raz podkreślam, że nie będę mówił o tym, że zebrał się tutaj...



Koleżdy! Gadulstwo jest rzeczą karygodną... Bo jeżeli weźmiemy pod uwagę, że godzina ma 60 minut, to ileż cennego czasu, koleżdy, tracimy bezproduktywnie... Weźmy przykład 47... Tutaj na sali jest 800 osób, każde przemówienie krótsze o 5 minut przynosi zysk 4.000 minut, co daje 66 godzin, 66 minut, 66 sekund roboczo czasu brutto... Przypuśćmy, że tych przemówień jest 5 — to ile wtedy zaoszczędzimy? Koleżdy, zaraz obliczymy, ponieważ zebrał się tutaj, ażeby...

JOZEF PRUTKOWSKI

BUCHALTERKA I POETA

— Tak, tak proszę pani,
Jesteśmy zdenerwowani.
(Tej sprawy nie uproszczaj).
Nad nami klucz bociani
Wiosnę otwiera na oścież.

A wiosna spada z szelestem
I delikatnym gestem
(Taki jest gest miłości)
Pisze zielono: jestem.
Na liściach obecności.

— Chodzi mi proszę pani,
O ust czerwonych podanie
W ramach doraźnej pomocy.
— Takie podanie mój panie
Musi nabrać urzędowej nocy.

Noc urzędowa, wiosenna,
Noc kwietniowa, bezsenna,
(Chwyta cię mocno w ramiona).
— Kupię ci chmurę czarną jak henna
— Niewyceniona.

Czarna chmura się gniewa.
Ulewa! Ulewa! Ulewa!
Jestem już bardzo zmoknięty.
— No, niechże się pan nie gniewa
Niebo upłynnia remanenty.

Po burzy okres pogody.
Takie to dziwy przyrody.
Na niebie gwiazdzista eskadra.
— Patrz, wczoraj księżyc był taki młody
A dziś rośnie nowa kwadra.

Oddałem serce (mało zużyte)
Buchalterce na dobitkę.
A ona zwyczajnie ma brzydkie:
— Serce otrzymałam! Proszę, oto kwitek!
No, cóż? Poszedłem z kwitkiem.

HAU, HAU!

W początkach kwietnia radio londyńskie opublikowało komentarz polityczny, poświęcony osobie (jeśli można tak się wyrazić) psa Churchilla. Z opisu BBC można wnosić, iż jest to buldog, gruby i rudy — podobnie jak jego pan — dodało radio Londyn. Z komentarza tego dowiedzieliśmy się również, że pies Churchilla nie bierze udziału w żadnych oficjalnych uroczystościach politycznych.

Przyczyny tego zdumiewającego faktu wyjaśni bliżej treść rozmowy odbytej przez psa Churchilla z suką pani Trumanowej; rozmowa ta odbyła się w waszyngtońskim Białym Domu w czasie ostatniej wizyty premiera Wielkiej Brytanii w Stanach Zjednoczonych. Mamy nadzieję, że BBC skorzysta z materiału, który mu dostarczamy.

Według posiadanych przez nas wiadomości rozmowa psa rozpoczęła się od zwyczajowego obwieszczenia odpowiednich miejsc u kontrahenta. poczem, jako gospodyni, rzecz zagała suka pani Truman:

— Hau, hau! Dlaczego właściwie nie bierzesz udziału w rozmowie mojego pana z twoim panem?

Buldog ziewnął dyskretnie:
— Nudzą mnie te rozmowy — lypnął czerwonym okiem.



rys. N. Siemionow („Krokodyl”)

W STOLICY TRIZONII

Beethoven: pochodzę z Bonn, ale dziś nie byłoby tam dla mnie miejsca.

ANECDOTY

Dyrektor jakiegoś małego teatrzyku poprosił kiedyś Stefana Jaracza, by zagrał u niego rolę Hamleta. Wysokość honorarium określił na 10 złotych.

Na to Jaracz odpisał mu w grzecznych słowach:

„Mając na uwadze powagę roli, zmuszony jestem odrzucić pańską propozycję. Mianowicie Hamlet nie może być wariatem”.

Chopin otrzymał raz zaproszenie na wystawny obiad w burżuazyjnym domu francuskim. Nie miał ochoty tam iść, w końcu jednak uległ naleganiom swych przyjaciół. Czując się źle, prawie nie dotknął potraw.

Po skończonym obiedzie, gospodyni domu otworzyła fortepian i poprosiła Chopina, żeby zagrał jeden ze swych mazurków. Chopin opierał się energicznie, wymawiał się chorobą itd. Wtedy zirytowana gospodyni dała mu poznać,

że został zaproszony na obiad po to, aby odwdziżyć się muzyką.

— Proszę pani — rzekł na to Chopin — tak mało jadłem...

Po tych słowach ukłonił się wszystkim głęboko i wyszedł.

Pewien namiętny zbieracz dzieł sztuki odkrył u handlarza obrazów w Wenecji Perugina z roku 1520, za którego zapłacił śmiesznie małą sumę. Ponieważ jednak prawo dzieł starych mistrzów, zbieracz kazał na starym płótnie wymalować portret króla Wiktora Emanuela III. Urzędnicy celnicy zasłutowali przed portretem i pozwolili wywieźć go za granicę. W Paryżu zmyto portret benzyną i wtedy nastąpiła rzecz osobliwa: razem z portretem Wiktora Emanuela zniknął również obraz Perugina, pozostał zaś na płótnie portret Garibaldiego.

wonym okiem. — A nawet muszę ci powiedzieć, moja mała, że mnie denerwują. Czuję się po takiej rozmowie po prostu pod psem. A w moim wieku trzeba się już szanować.

Psia dama zamyśliła się, a po pewnym czasie znów zapytała, grzecznie merdając ogonkiem:

— Nie rozumiem, cię doprawdy. Żeby pies tak wielkiego, doświadczonego polityka sam nie lubił polityki! Czymże to można wytłumaczyć?

Buldog uśmiechnął się:

— Jaka znowu polityka! To po prostu psia służba. Mój pan i polityka! Kiedy jeszcze ten Attlee był premierem, a mój pan w opozycji, to jeszcze wolno mi było trochę poszczekać na labourystów, jak któryś do pana wieczorem przychodził. Wtedy mój pan kładł mi rękę na łbie i mówił: „Dobry, dobry pies. Poszczekaj, trochę poszczekaj, niech się ludziom zdaje, że my z panami socjalistami naprawdę się kłócimy”... Ale dziś? Przychodzi woźny z waszej ambasady, albo przyjeżdża jakiś osobnik z gębą lotra od Adenauera, to nawet warknąć nie wolno. To po co mam brać udział w konferencjach?

— Nie rozumiem cię.

— To proste. Patrzeć nie mogę, jak ten mój pan odgrąza się „ja im, tym Amerykanom pokazuje, ja ich nauczę”. A czego ich uczy? Starych psich sztuczek, już naprawdę nieznośnych w jego wieku i w moim.

— A czego to, czego ich uczy, bo nie rozumiem?

— No pokazuje im, jak umie świetnie służyć na dwóch łapach.

— Ha, ha, ha!

— Z czego się śmiesz?

— Bo moja pani mówi to samo do mojego pana! „Ty po prostu — mów do niego — tym bankierem służyj jak pies”.

— A co twój pan na to?

— Krzyczy na nią, żeby była cicho, bo tak trzeba i że z tego ładnie już od dłuższego czasu żyją.

— Brr, ohyda — buldog Churchilla obtarł obrożą o nogę fotela. — I ludzie o kimś, co już osiąga dno upadku, mówią, że schodzi na psy. To skandal i obraza dla nas.

— A jak powinni mówić mój ty najnamrdziej-szy?

— Powinni mówić: „schodzi na naszych polityków” Hau, hau.

JAN SZELĄG



Proszę kolegów! Oto przykład 56, który będzie drugocowym ciosem, wymierzonym przeciwko gadulstwu. Bo jeżeli weźmiemy zebrań i konferencji nocne, zahaczające o godzinę nadliczbowe, które są, jak wiadomo, płatne podwójnie, to łatwo obliczymy, że przez niepotrzebne gadulstwo tracimy tyle czasu, ile potrzebuje pociąg o składzie wagonów długości 7 kilometrów na przebycie odległości, o której będę mówił później... Trzeba z tym walczyć, proszę kolegów... I dlatego zebrał się tutaj...

Koleżdy! Nie chciałbym wam kraść drogiego cennego czasu... Zebrał się tutaj, ażeby zadokumentować wspólnie, że potrzebamy niepotrzebne i szkodliwe gadulstwo... I dlatego zebrał się tutaj... Koleżdy! W tych krótkich słowach chciałem wam dać obraz przyczyn, dla których musimy walczyć z gadulstwem na zebraniach... I dlatego, w tej piątej godzinie mojego krótkiego zagajenia, jeszcze raz podkreślam, że nie chciałbym się powtarzać... Bo, jeżeli zebrał się tutaj...

W BAGNIE KORUPCJI



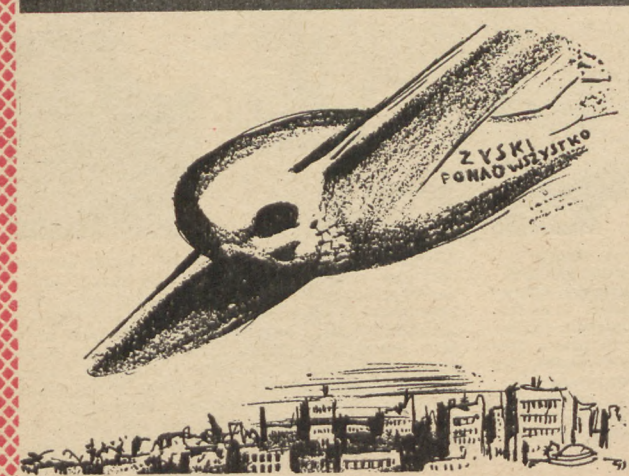
SOJUSZ



NA TROPIE NADUŻYĆ



WYSOKI KURS



Postępowa satyra amerykańska

Rys. ELLIS

MISTRZ I UCZEŃ



ZŁOWIESZCZY SĘP



BUDŻET WOJENNY USA



POCISK ZZA WĘGLA

